Reduta

ILUSTROWANA



Nr. 6.
9 marzec
1930 r.

50gr.

Cena numeru 50 gr. NR. 6. 9 — 16 MARZEC 1930 ROKU Opłata poczt. ryczałtem.
Zarejestrowano w Komisarjacie Rządu, 35.000 egz.

WYDAWCA:
Legja Inwalidów Wojsk Polskich

REDUTA ILUSTROWANA

REDAKCJA:
Remigjusz Kwiatkowski
Tadeusz Teslar

PRENUMERATA:
miesięcznie — zł 2, kwartalnie — zł. 6, półrocznie — zł. 12, rocznie — zł. 24, — wraz z przesyłką lub odnoszeniem do domu. Prenumetata zagraniczna wynosi o 50% drożej.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
Warszawa, ul. Nowolipie 2. Telefon 540-45. Konto czekowe P. K. O. Nr. 21 760.

PRZEDWIOŚNIE...



WIOSNA IDZIE, WESOŁA, UŚMIECHNIĘTA...

ECHA TYGODNIA

PRZEDWIOŚNIE... Wynagradza nas matka - natura za surowość z przed roku, kiedy z dziwną pasją pastwiła się nad wszelkiem stworzeniem, mrożąc, chłodząc i zasypując górami śniegu każdy skraw przestrzeni.

Zmieniło się... Zima raczej przymrozkami, niż mrozami, dmuchała nam za kołnierz, a śniegu było tak. jak na lekarstwo. Zmarkotnieli narciarze i łyżwiarze, a dziś już stracili wszelką nadzieję, iż powetują sobie jeszcze stracony czas.

— Niezupełnie — oświadcza jeden z nietracących nigdy humoru narciarzy.

— Czyżby tak?

— A no tak, przecież nasz „Pim" zapowiada pogodę na stałe, a to pewnik, że będzie odwrotnie, może nas jeszcze zasypać śnieg i wymrozić mróz.

Złośliwiec! W każdym razie życzymy „Pimowi", aby się nie omylił tym razem, a przynajmniej wrócił do zwykłych swoich komunikatów, albo będzie pogoda, albo jej nie będzie, bo wtedy... zawsze ma rację.

Tymczasem przedwiośnie mamy piękne i słoneczne. Stare przysłowie, że „w marcu, jak w garncu"; przynajmniej w pierwszych dniach marca się nie sprawdziło. Oby tak było i nadal!

Tak mało mamy słońca i pogody. Może dlatego jesteśmy tacy smutni i zgorzkniali. Upodobniamy się do ponurych ludów północy obojętnych zimnych i bez rozmachu życia. Szara przyziemność bez odwracania się ku słońcu rodzi ospałość i gnuśność.

Uśmiechnijmy się! Wiosna idzie... Słońce!

NAJDOTKLIWSZĄ bolączką okresu powojennego stała się epidemja braku mieszkań. Największa to z nędz najokropniejszą z mąk najostrzejsza z udręk, jakie przeżywać musi współczesne pokolenie. Istna plaga, która towarzyszy nam już tyle lat, o której zapisano już foljały papieru, która zrujnowała niejedno życie, o której głośno i w kronikach kryminalnych, bo do czegoż nie doprawadzi brak dachu nad głową albo przymusowe spędzanie życia w lokalu, który nie odpowiada nam pod żadnym względem.

A w związku z tem zbrodniczy proceder handlu mieszkaniami (tak, zbrodniczy!), te hyeny, tuczące się na ludzkiej niedoli, to obrazy nędzy i deprawacji, wynikające z braku zaspokojenia najistotniejszej potrzeby człowieka, jakim jest własny kąt i własny dach nad głową.

I dlatego z taką rozkoszą czyta się, że tu lub tam budują, że powstaje budynek, przeznaczony na schron ludzki, że pomnoży się liczba tych, co, jak na człowieka przystało, zamieszkać będą mogli.

To też zagadnienie „mieszkania najmniejszego", t. j. takiego, które w dzisiejszych warunkach, kiedy chodzi o jaknajwiększą liczbę mieszkań małych, odpowiadałoby wszelkim potrzebom kulturalnej rodziny — stało się zagadnieniem pierwszorzędnej wagi.

Nic też dziwnego, że zorganizowana na Żoliborzu pod Warszawą w gmachu budującej się spółdzielni mieszkaniowej Wystawa „Mieszkania Najmniejszego" obudziła powszechne zainteresowanie a otwarcia jej dokonali przedstawiciele Sejmu i rządu, podkreślając celowość, pożytek i znaczenie takiej Wystawy.

LEKARZ w Polsce ma za sobą tradycję dobrego obywatela kraju, górnie zawsze niosącego sztandar swego zawodu z troską o pomyślność publiczną. Taki też charakter miał zorganizowany w ubiegłym tygodniu Pierwszy Ogólnopolski Zjazd Lekarzy Szpitalnych, obradujący w Towarzystwie Hygjenicznem w Warszawie.

Zjazd ten wobc zamierzonego przez rząd wydania rozporządzeń wykonawczych do istniejącej ustawy szpitalnej miał bardzo doniosłe znaczenie, ponieważ przy obecnym postępie w medycynie należycie wyposażone i zorganizowane szpitale stały się zasadniczemi jednostkami w systemie lecznictwa.

Po bardzo szczegółowej i żywej dyskusji wysunięto szereg dezyderatów i powzięto stosowne uchwały.

KOLEJNICTWO pomorskie uroczyście święciło dziesięciolecie swej polskiej służby w odrodzonej Polsce. Miejscem obchodu stała się znowu Gdynia która niedawno tak uroczyście również święciła dziesięciolecie zaślubin Polski z morzem.

Obchód wypadł bardzo okazale i imponująco. Prócz kolejarzy, którzy wystąpili gremjalnie ze sztandarami i muzyką, w obchodzie wzięła udział cała ludność Gdyni, dumna z portu polskiego, który coraz częściej staje się miejscem parad i uroczystości. Ma to duży wpływ nietylko na ludność Gdyni, lecz całego polskiego wybrzeża. Tak długo i mozolnie tępiono tu polskość, że wszystko, co pobudza do silniejszych wrażeń i wzruszeń narodowych, jest specjalnie cenne dla niezblazowanych jeszcze i lubiących gromadne uroczystości pomorzan.

Uroczystość kolejarzy pomorskich odbiła się żywem echem po całem Pomorzu...



Księżniczka Kamiko (Takano-Mija), druga córka japońskiego mikada.

A WIĘC Tardieu redivivus... Chautemps wraz ze swoim gabinetem przetrwał tylko cztery dni. Pierwsze zetknięcie się z Izbą w dniu 25 lutego obaliło go w przeciągu kilku godzin. W głosowaniu okazało się iż rząd mał za sobą tylko 278 głosów a przeciwko sobie 298 głosów. Zaufanie społeczeństwa przechyliło szalę.

Tardieu, który znowu otrzymał mandat stworzenia gabinetu, sformował go bardzo szybko przy widocznej sympatji większości społeczeńtswa francuskiego, żywo zainteresowanego sytuacją polityczną.

Radość niemiecka ze zdecydowanego przesunięcia się rządów ku lewicy, zmierzającej do ugody niemiecko - francuskiej, okazała się nieco przedwczesna.

NA cześć admirała Horthyego rozebrzmiały hymnem czci całe Węgry. Dziesięciolecie władzy regenta stało się świętem powszechnem. Nie szczędzono mu dowodów uznania ze strony wszystkich warstw węgierskiego narodu, który zdążył już wypróbować na sobie uroków i czarów komunizmu w okresie krótkiego uzurpowania sobie władzy przez krwawego Belę Kona.

Zwłaszcza okazały charakter, pełen pompy i tradycji, miały uroczystości regenckie w Budapeszcie.

W swej mowie dziękczynnej admirał Horthy wskazał na powagę i znaczenie Węgier, które zostało osiągnięte na terenie międzynarodowym dzięki polityce pokojowej kraju.

SYN niebios i potomek bogów, panujący obecnie cesarz japoński, ma drugą już córkę. Z okazji uroczystości na cześć mikada, które trwały przez cały miesiąc, prasa ilustrowana japońska zamieściła portrety najmłodszej latarośli panującego rodu. Księżniczka Kamiko (Takano-mija) liczy zaledwie cztery miesiące i świetnie, jak widać na fotografji, wygląda.

Niebiosa są jednak niełaskawe dla swego syna, gdyż w przekonaniu całego żółtego Wschodu dzieci płci żeńskiej, jedno po drugiem, są dowodem braku łaski nieba. Przesąd ten głęboko zakorzenił się na Wschodzie, gdyż początek bierze z najstarszego kultu regijnego, t. zw. dwupłciowości natury, gdzie wszytskie pierwiastki podzielone były na męskie i żeńskie, przyczem do męskich należały: słońce, dzień, siła i t. d., do żeńskich zaś — księżyc, noc, słabość... — słowem wszelki antypogody.

BENITO Mussolini „il duce" Italji obchodził niedawno uroczystość rodzinną. Najstarsza jego córka, donna Edda, zaręczyła się z sekretarzem poselstwa Watykańskiego hrabią Galeazzo.

Parantela wcale niedemokratyczna. Zresztą serce nie sługa nie słucha wskazań żadnego systemu choćby najbardziej rozpowszechnionego.

O rączkę Eddy Mussolini starali się różni: przeważnie bardzo wysoko postawieni w hierarchji rodowej i politycznej.

Wybór jej padł na hrabiego Galeazzo.

OTWARCIE WYSTAWY „MIESZKANIE NAJMNIEJSZE“ NA ŻOLIBORZU POD WARSZAWĄ



Ogólny widok gmachu spółdzielni mieszkaniowej.



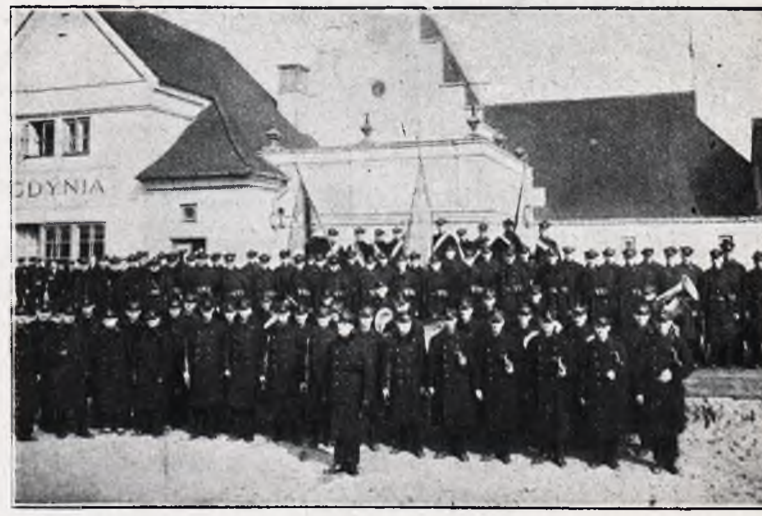
Przedstawiciele Sejmu i Rządu na otwarciu Wystawy.

PIERWSZY POLSKI ZJAZD LEKARZY SZPITALNYCH



Przybyło 248 lekarzy. Obrady zagaił prezes dr. Falkowski.

ŚWIĘTO 10-LECIA KOLEJNICTWA POMORSKIEGO



W Gdyni odbyła się uroczystość 10-lecia kolejnictwa pomorskiego.

PREMJER KAMIL CHAUTEMPS I JEGO MINISTROWIE, KTORYCH KADENCJA TRWAŁA TYLKO 4 DNI





ZARĘCZYNY EDDY MUSSOLINI





Najstarsza córka Mussoliniego zaręczyła się z hr. Galeazzo.

DZIESIĘCIOLECIE REGENTA WĘGIER



Regent węgierski admirał Horthy na uroczystościach.

W PIĘCIOLECIE KORPUSU OCHRONY POGRANICZA



Żołnierze K. O. P.-u na zasadzce w oczekiwaniu szpiega.

Właśnie pięć lat minęło, gdy Korpus Ochrony Pogranicza stanął z bronią u nogi przy kopcach granicznych na naszej granicy wschodniej, wytężając wzrok i słuch, czy nie nadciąga ukradkiem wróg, szpieg, prowokator lub przemytnik, nasz szkodnik handlowy i walutowy. Pięć lat, zaledwie, lecz jakiż gigantyczny dorobek! Dzień w dzień 2.000 kilometrów własnemi nogami przemierza żołnierz pieszy i konny K. O. P.-u wzdłuż granic państwowych, by zabezpieczyć spokój krajowi i wykonać włożony nań obowiązek.

A przecież jeszcze przed pięciu laty słowo „granica polsko - sowiecka" wywoływało uśmiech politowania na ustach. Nie było dnia, by przez ową „granicę" nie przedzierały się sowieckie lub litewskie bandy dywersyjne, nie paliły wsi i majątków polskich obywateli, nie było dnia, by przemytnik nie szmuglował całych furgonów transportowych z towarami do Sowietów, Niemiec, oraz innych sąsiadów. A dziś — jakgdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej — minęło to wszystko bezpowrotnie.

Dowódca K. O. P.-u.



Generał brygady Tessaro, dowódca Korpusu Ochrony Pogranicza.



Wierni towarzysze żołnierza K. O. P.-u: psy meldunkowo-śledcze.

Strażnice K. O. P.-u dawniej i dziś



Pierwsze strażnice K. O. P.-u niewiele się różniły od pomieszczeń psiej szkoły.

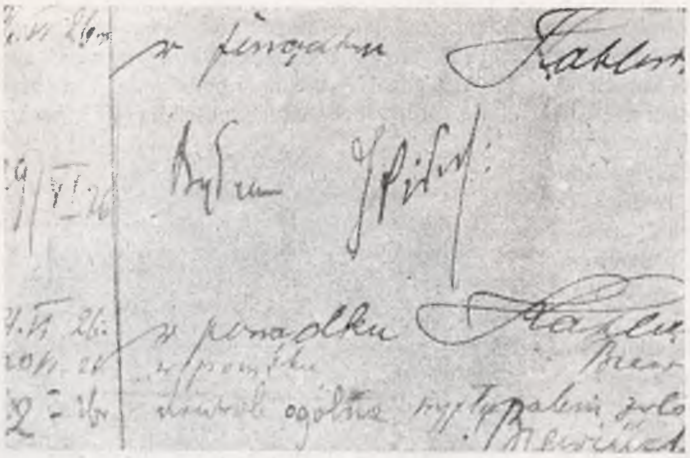


Pomieszczenie szkoły dla psów meldunkowo - śledczych.



Dziś zato strażnice K. O. P.-u przedstawiają się już inaczej...

CZUWAJĄCEGO NA RUBIEŻACH RZECZYPOSPOLITEJ



Z księgi służbowej posterunku K. O. P.-u w Nerowie w okolicy Druskiennik.

I właśnie dlatego cały kraj powinien odezwać się gromko i powiedzieć naszym żołnierzykom z nad granicy sowieckiej, litewskiej, polskiej i niemieckiej: „Bóg ci zapłać„ żołnierzu pograniczny, za spokojne pięć lat naszej pracy w głębi kraju, którą osłaniałeś własną piersią, własnym potem i trudem".

Korpus Ochrony Pogranicza strzeże dzisiaj olbrzymiej połaci granicy Rzeczypospolitej od strony państwa sowieckiego, od królestwa Rumunji, od Litwy i częściowo Niemiec (odcinek północny — pruski).

Ogrom dokonanej pracy jest istotnie imponujący. Wystarczy przejrzeć wydaną przez dowództwo K. O. P.-u pod redakcją kpt. Fr. Jamki-Koperskiego jednodniówkę z okazji jubileuszu pięciolecia istnienia tej formacji, by przekonać się o sprawności i doskonaleniu się ofiarnej służby żołnierza na naszych rubieżach.

Znaczną pracą żołnierzy K. O. P.-u jest przytrzymywanie osób nielegalnie przekraczających przez granicę czy z Polski czy też do Polski z zewnątrz. Statystyka cyfrowa podaje: w roku 1926 przedzierających się do Polski zatrzymano 16.179 osób, w 1927 r. — 10.172, w 1928 r. — już tylko 1.583 — a w ostatnim roku 1929 — 849 osób. Świadczy to o ogromnym respekcie K. O. P.-u zagranicą, zmniejszyła się bowiem tak zawrotnie ilość śmiałków, nielegalnie zdążających z różnych przyczyn do naszego kraju. Również podobny stosunek widzimy, obserwując ruch przekroczeń granicy z Polski zagranicę, głównie do Sowietów i Niemiec. Gdy w 1926 r. usiłowało przedrzeć się zagranicę nielegalnie 1.828 osób, już w ubiegłym roku cyfra ta sięgała zaledwie 594 osób.

Że żołnierz - kopista narażony jest na stałe niebezpieczeństwo życia, mówią o tem często wieści o ostrzeliwaniu żołnierzy naszych na placówkach granicznych przez posterunki państw ościennych. Bo oto w ostatnim roku żołnierze sowieccy ostrzelali zdradziecko 353 razy polskich żołnierzy na granicy, Litwini dybali strzałami na kopistów 252 razy.

Jednocześnie w tymże samym roku 1929 nasi żołnierze z zasadzek odparli strzałami 39 razy próby wdarcia się na nasze terytorjum zbrojnych band. Charakterystyczne jest, że z tej liczby 31 razy napadały bandy sowieckie, 7 razy litewskie, 1 raz niemieckie.

Wytropiono lub zlikwidowano 5 band dywersyjnych oraz zlikwidowano na pograniczu 58 afer szpiegowskich, z tego 54 sowieckich. Ujęto 123 szpiegów.

Osobną kartę pracy Korpusu Ochrony pogranicza stanowi walka z przemytnictwem. Tego rodzaju proceder wprawdzie jest znany na całym świecie — niemniej jednak w państwie tak młodem jak nasze ma specjalnie szkodliwy charakter. Trzeba przyznać, że dowództwo K. O. P.-u osiągnęło na tem polu zupełnie zadawalniające wyniki.

Wielu mogłoby się zdawać, że wobec tak wspaniałych rezultatów uspokojenia się naszego pogranicza — czego istotnie jesteśmy wszyscy świadkami, siły tego Korpusu Ochrony Pogranicza muszą być chyba olbrzymie. Tembardziej, że długość granic strzeżona przez K. O. P. jest ogromna, (mówiąc cyframi — 2180 kilometrów — czy dwie piąte całej naszej granicy). Tymczasem wszystkiego Polska liczy 25 bataljonów piechoty i tyleż szwadronów kawalerji — pogranicznej t. zw. „Kopistów". — A więc na poszczególny bataljon przypada do ochrony odcinek graniczny długości blisko 100 kilometrów. Aż 100 kilometrów na jeden bataljon!! Otóż w tym fakcie nawet najmniej orjentujący się czytelnik widzi, jaki olbrzymi wysiłek i jak rzetelną pracę muszą dawać — oficer i żołnierz K O. P.-u, gdyż pomimo tej dysproporcji sił do długości granic Polska żyje w spokoju, a żołnierz K. O. P.-u nie gorzej jest przy tem wyćwiczony wojskowo i bojowo, niż żołnierz armji regularnej.

Ta już zasługa dowódcy Korpusu Ochrony Pogranicza, którym obecnie jest generał brygady Stanisław Tassaro oraz jego sztabu i wszystkich oficerów K. O. P-u.

Historycznie ujmując te zasługi i położoną pracę pod podwaliny dzisiejszego rozkwitu Korpusu Ochrony Pogranicza zanotować należy ten wiele mówiący fakt, że służbę w K. O. P.-u zorganizowali wybitnie bojowi oficerowie.

Oto pierwszym dowódcą „kopistów" był gen. dyw. Henryk Minkiewicz, a jego długoletnim szefem sztabu — płk. dypl. Juljusz Ulrych. Dowódcami poszczególnych brygad byli: generał Józef Olszyna-Wilczyński, generał Pawłowski, generał Roman Maksymowicz, generał Józef Tokarzewski. Oni to właśnie pierwsi i wielu, wielu innych zaczynali w najtrudniejszych warunkach, bo w okresie rozkiełznanej samowoli ludności nad granicą oraz napastliwych sąsiadów, organizować ochronę wojskową pogranicza prawie dziki step, z jej ludnością mieszaną doprowadzać do ładu i składu, do poszanowania władzy państwowej, do poczucia obywatelskiego, do uświadomienia kulturalnego i przywiązania do Polski.

Jeszcze i o samym żołnierzu-szeregowym „Kopiście" słów kilka wspomnieć sprawiedliwie trzeba. Nie dość tego, że pełni on w K O. P.-ie służbę przez 24 miesiące, to jest o 6 miesięcy dłużej, niż w armji, to jednak jeszcze każdy dzień tej jego służby jest uciążliwszy. Żadne warunki terenowe. ani atmosferyczne, ani noc, ani dzień świąteczny nie zwalniają go nawet na najkrótszy moment od czujności przed zbliżającym się wrogiem lub szkodnikiem państwowym czy przestępcą. Żołnierz KOP-u czuwa w napięciu nerwów, w poczuciu swej odpowiedzialności, jak słusznie to zaznacza w jednodniówce K. O. P.-u w artykule swym o pracy kulturalno-oświatowej wśród żołnierzy tej formacji kpt. Fr. Jamka-Koperski:

„Warunki rozlokowania oraz pełnienia służby wymagają od żołnierza K. O P.-u szybkiej decyzji i dużej inicjatywy, od których zależy bezpieczeństwo granicy; prócz tego żyje on i pracuje przeważnie w środowisku niepolskiem, dosyć często ustosunkowanem do państwa obojętnie. a nawet wrogo."

Strażnikom rubieży Rzeczypospolitej należy się pamięć nieustająca, szczera przyjaźń społeczeństwa i cześć.

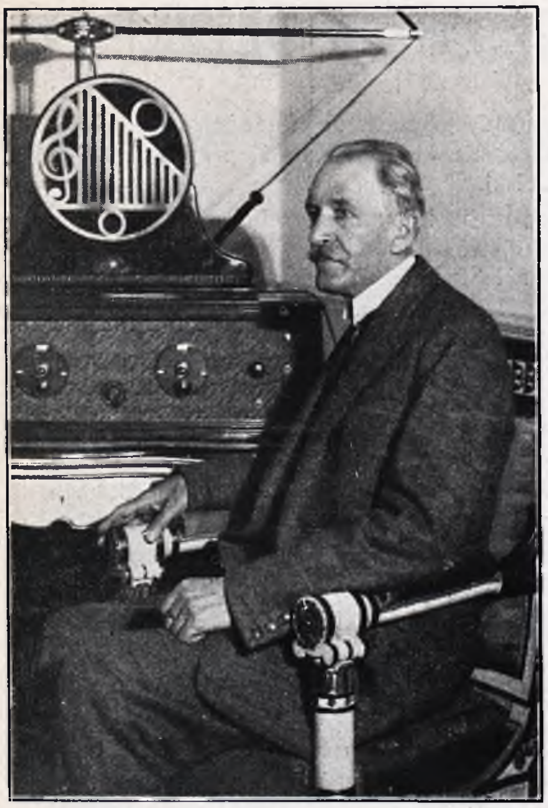
Nie można też przemilczeć tych zasług, jakie kładzie żołnierz K. O. P.-u, jako przyjaciel i dobroczyńca miejscowej ludności, czy to przez odżywianie w dniach głodu, czy jako wierny ratownik przy klęskach pożaru, czy jako dostarczyciel godziwej rozrywki kulturalno-oświatowej. A wszelka i ochocza zawsze pomoc w polu i t. d. i t. d.

TADEUSZ TESLAR.



Rzadko bardzo zdarzają się wypadki dezercji, ale kończą się przeważnie tak: — Wracam!... i ogłupiony propagandą, a często miłością do dziewczyny żołnierz przypada ze łzami do kolan polskiego oficera.

HALLO! HALLO! POLSKIE



Prezydent Rzeczypospolitej przed mikrofonem Polskiego Radja.

— Hallo! Hallo! Polskie Radjo, Warszawa. Sakramentalne te wyrazy otwierają codziennie wielotysięcznej rzeszy radjosłuchaczy zaczarowany świat dźwięków, spływających na falach eteru z przestworzy dalekich, a przecież tak bliskich dzięki małej skrzyneczce, kryjącej w swem tajemniczem wnętrzu pod czarną płytą ebonitową przemyślne splątane zwoje drutu, srebrzyste banie lamp katodowych, lub mały, lśniący kryształek. Skarby ludzkich myśli i ludzkich serc tak łatwo dostępne dla każdego, jak w owej legendarnej epoce, gdy wystarczało wymówić magiczną formułę „Sezamie, otwórz się", aby wkroczyć do groty pełnej worów złota i kosztowności! Człowiek jednak tak łatwo oswaja się ze wszystkiem, nawet z cudami. To też naszą codzienną „pogawędkę" z aparatem radjowym traktujemy jako coś miłego, lecz zwykłego, koniecznego do wypełnienia normalnego porządku dnia. I nie zastanawiamy się przytem wcale, jakiego wysiłku umysłowego, jakiej inwencji i jakiego artyzmu wymaga ten codzienny, pospolity fakt przedostawania się poprzez fale eteru, wprost do naszego pokoju doborowej muzyki, pouczającego odczytu i interesującej informacji.

A jednak zastanowić się warto. Zastanowić i — zobaczyć.

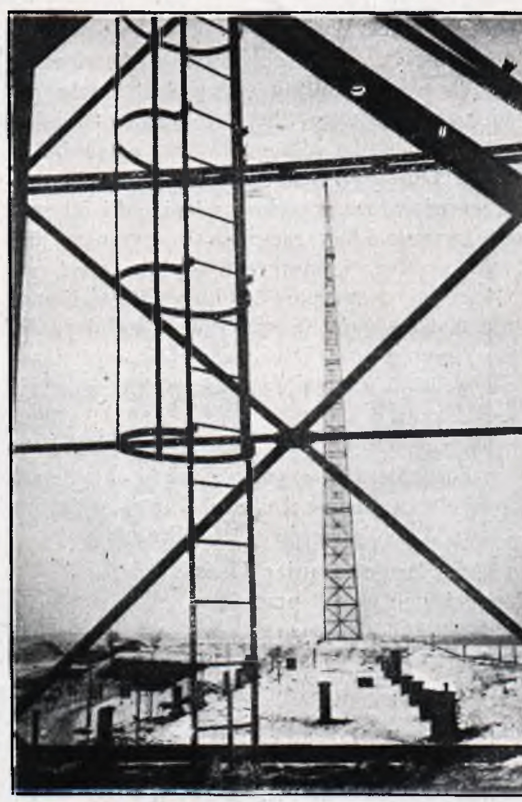
To też chętnie wraz z czytelnikami „Reduty" wejdziemy do szarego, dużego gmachu przy ul. Zielnej w Warszawie, gdzie mieszczą się „studja" i biura „Polskiego Radja".

Olbrzymią machiną „Polskiego Radja", obejmującą już 7 stacyj nadawczych (Warszawa, Kraków, Katowice, Poznań, Wilno, Lwów i Łódź) kieruje z ogromnym zapałem i nieporównanem znawstwem naczelny dyrektor dr. Chamiec, stroną techniczną zarządza jeden z najwybitniejszych u nas specjalistów w dziedzinie radjotechniki, dyrektor inż. Heller, organizację programów wzięli na siebie nasz uprzejmy interlokutor dyr. Weronicz (kierownictwo literackie), prof. H. Mościcki (dział odczytów) oraz prof. T. Czerniewski (kierownictwo muzyczne). Tych kilku entuzjastów i pionierów radjofonji polskiej, z których każdy jest znakomitym specjalistą w swojej dziedzinie, przy pomocy licznego, lecz doborowego personelu dostarcza setkom tysięcy radjosłuchaczy ich codziennej strawy duchowej, ujętej w karby racjonalnie i starannie ułożonego programu. Każdej części programu, który wszak zaspokoić musi rozliczne upodobania i wymagania radjosłuchaczy, odpowiada w gmachu „Polskiego Radja" specjalna sala, t. zw. studjo, z którego nadawane są poszczególne audycje. Istnieje więc studjo literackie, muzyczne, kameralne i odczytowe. Każda z tych sal, artystycznie dekorowana, według projektów arch. Antoniewicza, izolowana jest od wszelkich dźwięków zewnętrznych płytami celotexu, grubemi, pluszowemi portjerami i puszystym dywanem, tłumiącym odgłosy kroków. Głównym, acz niepozornym sprzętem jest oczywiście mikrofon, nad którym w chwili połączenia go ze stacją nadawczą zapala się czerwone światło — znak ostrzegawczy dla wykonawców programu.

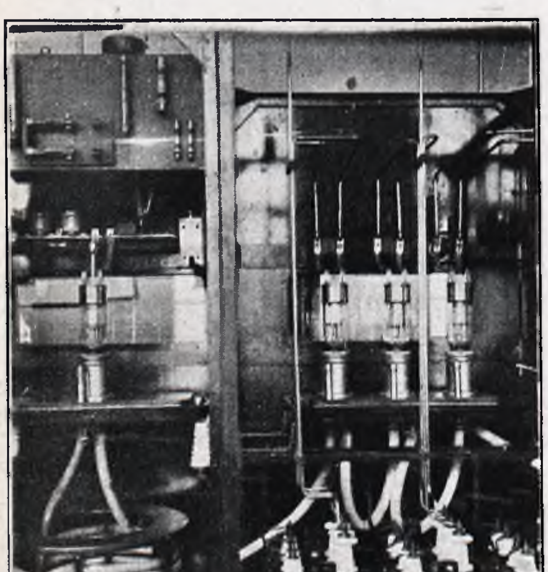


Dr. Z. Chamiec, naczelny dyrektor Polskiego Radja.

Zaklęty w iskrę elektryczną dźwięk biegnie kablem ze studjo do aplikatorni, mieszczącej się na drugiem piętrze. Tu w szeregu skomplikowanych aparatach poddany zostaje wielokrotnemu wzmocnieniu, aby dostawszy się znowu kablem do stacji nadawczej na forcie Mokotowskim, ulecieć szerokiemi koliskami w przestworza z rozpiętej na dwóch wysokich wieżach żelaznych anteny. Cała precyzyjna aparatura „Polskiego Radja" wykonana została przez trzy światowe firmy Western Electric, Marconi i Erikson.



Stacja nadawcza Polskiego Radja w Warszawie.



Fragment aparatury nadawczej. Jedna lampa dużej mocy i 3 lampy prostownikowe.



Dziatwa jest wielką miłośniczką bajek „Polskiego Radja".

RADJO... WARSZAWA!

Pomimo trudnych początkowo warunków rozwój „Polskiego Radja“ jest bardzo szybki. Dzisiaj już pracuje 7 stacyj, z których uruchomiona niedawno stacja w Łodzi zmonto-



Dr. Weronicz, kierownik literacki Polskiego Radja.

wana została — jak nas informuje p. dyr. Weronicz — na pięć miesięcy przed upływem terminu, przewidzianego w koncesji. Na jesieni bieżącego roku stanie w Warszawie druga 120-kilowatowa stacja, najpotężniejsza z pośród wszystkich pracujących dotychczas w Europie. Stacja ta pozwoli na odbiór audycyj na obszarze całej Rzeczypospolitej przy pomocy tanich aparatów detektorowych.

Ten niepowstrzymany rozwój nie ogranicza się bynajmniej do ulepszeń technicznych.

Programy Polskiego Radja wskazują na stały postęp, mobilizując przed mikrofony całą elitę kultury polskiej. Coraz to nowe sensacje radjofoniczne, arcydzieła muzyki w wykonaniu najwybitniejszych artystów, pomysłowo zradjofonizowane arcydzieła literatury, wykłady naukowe, fragmenty z życia, przychwyconego — że się tak wyrazimy — na gorącym uczynku, cała ta barwna mozaika codziennych programów „Polskiego Radja“, świadczy o olbrzymiej, mądrej pracy przetwórczej, popularyzującej cały dorobek kulturalny ludzkości wśród najszerszych warstw społeczeństwa.

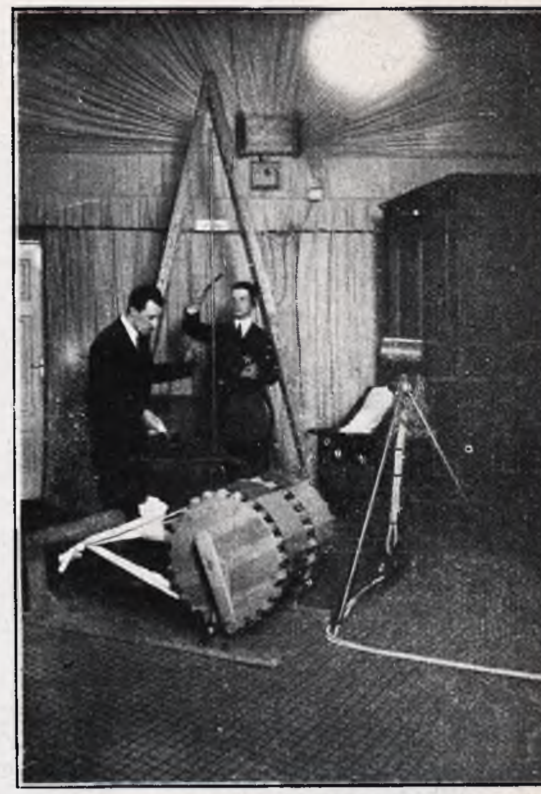
Aby ten olbrzymi wysiłek uczynić jak najbardziej celowym, powołano w tych dniach do życia Radę Programową, składającą się z 5 przedstawicieli rządu i 4 przedstawicieli „Polskiego Radja“. Przewodniczącym Rady mianowany został gen. Stachiewicz, a wśród członków zasiadają m. in. Wacław Sieroszewski i Zdz. Dębicki.

Jedno tylko osłabia jeszcze tempo rozwoju radja w Polsce — mówi nam na pożegnanie p. dyr. Weronicz — to znaczne rozpowszechnienie radjopajęczarstwa. Rejestrowanych słuchaczy mamy ponad 200.000, a iluż ich słucha ponad tę cyfrę?! A w sąsiednich Niemczech istnieje 3,5 miljona rejestrowanych słuchaczy! Jednak i my pracujemy z niemniejszym rozmachem przy szczupłych środkach.

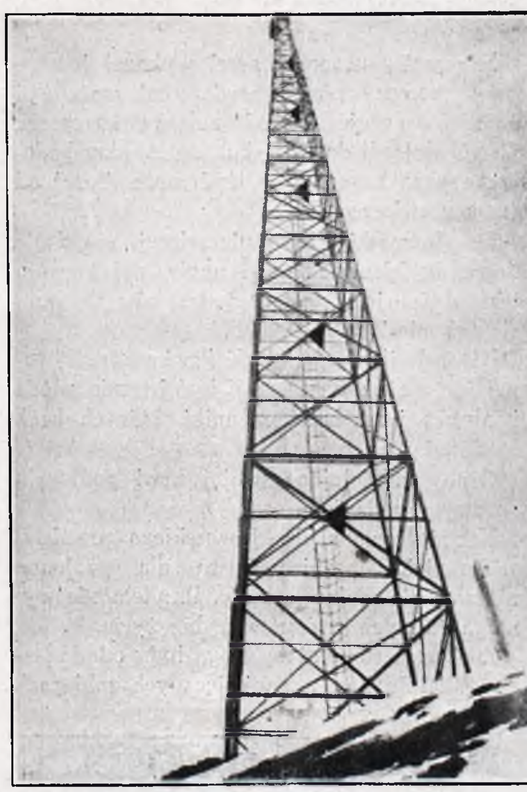
Ściskamy dłoń naszego uprzejmego cicerone z życzeniami najświetniejszego rozwoju tej ważnej i niezastąpionej już niczem dla tysięcznych rzesz placówki.

A w chwilę później, gdy znajdujemy się już we własnem mieszkaniu, nakładamy znowu słuchawki na uszy. I oto z tych sal, które opuściliśmy przed chwilą, biegną do nas sakramentalne wyrazy:

— Hallo! Hallo! Polskie Radjo Warszawa...



Dekoracje artystyczne dla słuchowisk literackich Polskiego Radja.



Wieża antenowa na forcie Mokotowskim.



Zespół recytacyjny reżysera Radulskiego przed mikrofonem.

* * *

Poza wszelkiemi rozkoszami, jakich źródłem staje się „Polskie Radjo“ zwłaszcza dla prowincji, nie mającej rozrywek i przyjemności tego rodzaju, co większe miasta, słuchawka radjowa stała się świetnym kolportażem i propagatorem polskiej książki.

Rozwój czytelnictwa w Polsce, niezbyt świetny, co prawda, ale w każdym posuwający się z dnia na dzień naprzód, słuchawce radjowej ma wiele do zawdzięczenia.

Niejedna para rąk kieruje się ku książce czy pismu, by je czytać tylko dlatego, że podniecono ciekawość tematem i autorem.

Niemała w tem zasługa prof. Henryka Mościckiego, który bardzo interesująco i żywo opowiada o tem, co się dzieje na półkach księgarskich i co warto czytać.

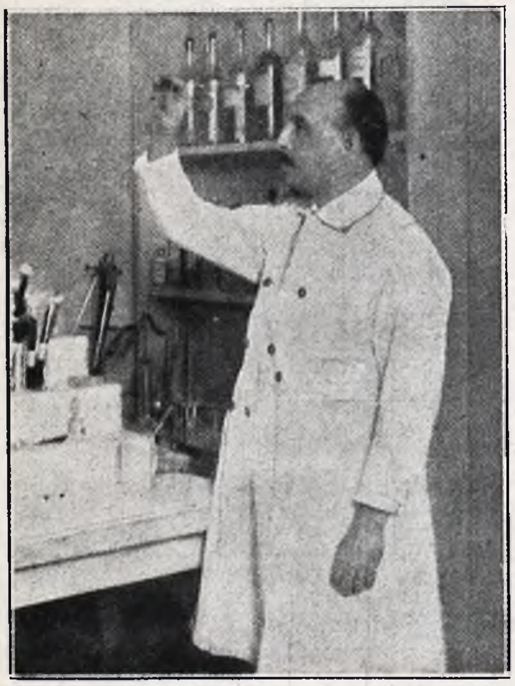
Zyskują na tem bardzo autorzy polscy, gdyż o nich tylko mowa w „Polskiem Radjo“. Rzecz to ważna, gdyż chwałę każdej choćby nawet miernoty tłómaczonej głoszą trąby jerychońskie reklamy wszelkiego rodzaju, natomiast, gdyby nie słuchawki radjowe, o autorach i książkach polskich byłoby zupełnie głucho.

Old.



Stacja nadawcza Polskiego Radja na forcie Mokotowskim.

O TEM, JAK ODMŁODNIEĆ...



Dr. Jaworski w swem laboratorjum.

Pod tytułem „Jak odmłodnieć" wydał w Paryżu książkę dr. H. Jaworski. Książka zdobyła niebywałe powodzenie.

Dr. Jaworski mówi tam nietylko o własnej metodzie, opartej na ośmioletnich już doświadczeniach, lecz przesuwa przed czytelnikiem w sposób barwny i zajmujący całą dotychczasową odyseę poszukiwaczy wiecznej młodości.

Czemże jest starość? Słabnięciem powolnem i stopniowem energji życiowej i początkiem śmierci naturalnej, normalnem zakończeniem długiego życia. Zdarza się spotykać ludzi, ktrzy dosięgli znacznej liczby lat, a mimo to zachowali znakomity stan zdrowia i władz umysłowych, lecz są to rzadkie wypadki. Przeważnie starość pociąga za sobą niedołęstwo i zgrzybiałość. Nie jest to starość normalna, ale uwiąd.

I właśnie z tym uwiądem bolesnym i ohydnym, należy prowadzić walkę.

Do tej pory w braku czegoś lepszego — mówi autor „Jak odmłodnieć?" — ludzkość wyidealizowała klasyczną postać starca o trzęsącej się głowie i ociekających śliną ustach, siedzącego w pantoflach przy piecu. Temu oto symbolowi pragniemy przeciwstawić postać człowieka, który pozostał *młody* mimo ciężaru lat i który dzięki pełni władz potrafi rzucić ostatnie spojrzenie pełne pobłażania i oderwania od świata na dzieło swego życia, doprowadzone do końca, i na śmierć, która się staje upragnionym i zasłużonym wypoczynkiem.

Mówiąc o odmłodzeniu dr. Jaworski nie ma na myśli cudu Fausta. Z prac jego i znakomitych jego poprzedników: Brown-Séquard'a, Steinacha, Lichtensteina, Marinesca, Woronowa, Dartigues'a, Dopplera i Kochera wynika jedno, że została nareszcie osiągnięta możliwość *cofnięcia się wstecz* w czasie oraz dopłynięcia do kresu żywota, nie podlegając uwiądowi.

Metoda dr. Jaworskiego jest najbardziej prosta. Polega wyłącznie na zastrzykach dożylnych małych dawek młodej krwi, a raczej preparatu młodej krwi ludzkiej, t. j. plazmy sterylizowanej.

Znakomity uczony Carrel wykazał już, że przy pomocy plazmy zwierzęcej może żyć oderwana część tkanki zalążka kurczęcia. Carrel doszedł do wniosku, że tkanka, hodowana poza organizmem, żyć może dłużej od samego zwierzęcia.

Dr. Jaworski wlewa nie więcej, niż około 5 cm. sześciennych krwi naraz, zaś kuracja jego obejmuje naogół 12 zastrzyków na przestrzeni miesiąca.

Nie tyle ilość, co jakość krwi zastrzykiwanej jest ważna. Krew musi być istotnie młoda i zdrowa i zawierać czynniki, których brak krwi zużytej.

Osoby, udzielające swojej krwi podlegają surowym badaniom.

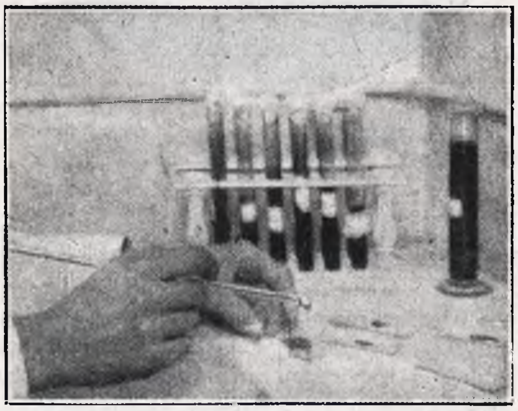
Naogół metoda dr. Jaworskiego przedstawia mniej niebezpieczeństwa dla pacjenta, niż wypicie szklanki wody. Przytem nie wymaga żadnych zmian w trybie życia.

Zwierzęta również tą drogą były odmładzane. 15-letnia koza po miesięcznych zabiegach rodzi małe i karmi je z troskliwością młodej matki. Suka 16-letnia odnajduje dawną żywość i apetyt. Konie, przeznaczone skutkiem starości do uboju, stają się znów silne i zdolne do pracy.

U ludzi ta sama metamorfoza. Senność po posiłkach, neurastenja, zmęczenie znikają. Ciśnienie się ustala.

Sen powraca, z nim radość życia, siła woli, pamięć i siły fizyczne. Przeważnie głębokim tym zmianom towarzyszy również korzystna zmiana wyglądu, ruchów i mowy.

50-letni Holenderczyk, wyczerpany długoletnim pobytem w Indjach skarżył się przed dr. Jaworskim na zmęczenie fizyczne i umysłowe, zanik pamięci, ostre podrażnienie nerwów i bicie serca. Po odbytej kuracji w dwa lata później donosił, że uczy się boksu.



Próba wstępna t. zw. „ślubu krwi".

Główne ciekawe są dwa rozdziały: „Mężczyźni, których odmłodziłem" i „Kobiety, które odmłodziłem". Sami ci pacjenci przemawiają. „Mam o 15 lat mniej" — mówi jeden. „Znowu się czuję, jak wówczas, gdy miałam 20 lat" — mówi jakaś pani. U jakiejś sędziwej damy zaczynają odrastać ciemne włosy. Słowem odradza się cały organizm.

Wielki dramat człowieczeństwa: starość zostaje unicestwiony. Jest nań lekarstwo.

Obowiązkiem naszym — twierdzi dr. Jaworski — jest nie spokojnie oczekiwać niedołęstwa, ale pozostać zdrowym i silnym do końca.

Jeden z pacjentów dr. Jaworskiego, znany francuski dziennikarz de Waleffe, mówi, że na to, by zawrócić ze śliskiej drogi starości nie należy czekać „aż się usłyszy rżenie koni, zaprzężonych do własnego karawanu".

Słowem, można się ustrzec lub zapobiec skutkom zgrzybiałości starczej, zachowując nietylko dziecięcą pogodę ducha, lecz także młodzieńczą gibkość ciała, zdolnego do chybkiego poruszania się w przestrzeni aż do ostatnich chwil żywota.

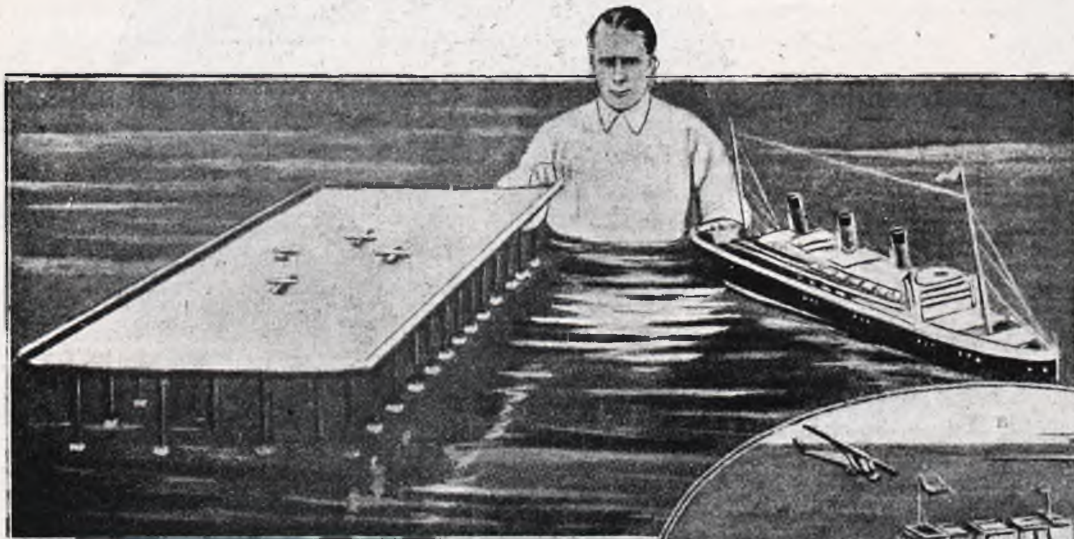
Na śmierć tylko nikt lekarstwa dotąd nie wynalazł i... zapewne nie wynajdzie. Próżno wysilały się mózgi wszystkich ciekawych umysłów świata i ludzkości, by rozwalić głaz tajemnicy poczęcia i końca człowieka, i stawały bezsilne. Pocieszajmy się w każdym razie tem, iż przeraźliwe widmo śmierci może być usunięte na czas jak najdłuższy, ponieważ lata Matuzalema wkrótce nie będą tylko legendą biblijną, lecz rzeczywistością wcale nie z krainy bajki.

Medycyna nie ustaje w swych dociekaniach, byle ozdrowić i uszczęśliwić człowieka, pragnącego żyć i żyć bez końca...

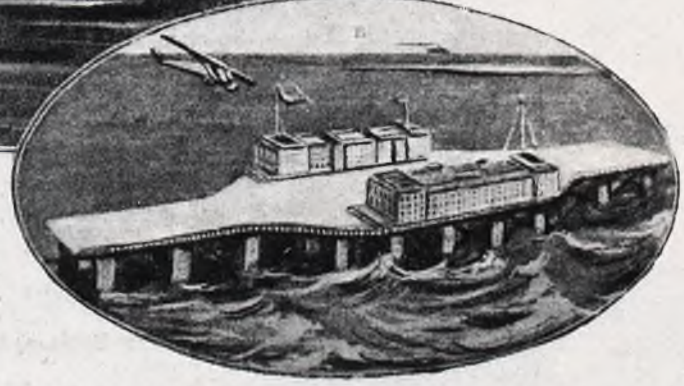


Zastosowanie metody dr. Jaworskiego: doktór osobiście dokonywa injekcji preparatu młodej krwi.

PŁYWAJĄCE WYSPY — MOST MIĘDZY EUROPĄ I AMERYKĄ



Inżynier Armstrong z modelem wyspy-oceanodromu



Projektowana wyspa-oceanodrom Langley.

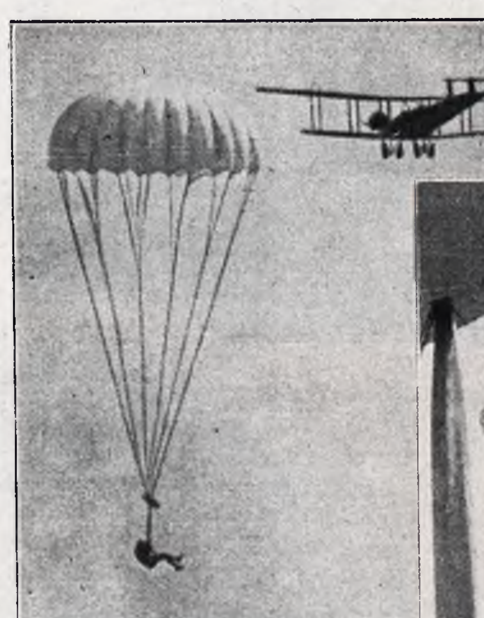
Oceanodron — oto nowe wyrażenie, jakie wkrótce będą musiały zarejestrować nasze słowniki wyrazów technicznych. Słowo to wejdzie zresztą w powszechny użytek, będzi bowiem nazwą sztucznych wysp wśród bezmiaru wód Atlantyku między Europą i Ameryką. Idea sztucznych wysp, które byłyby stacjami odpoczynkowemi dla samolotów, utrzymujących stałą komunikację powietrzną krainy dolara ze starą Europą, nie jest już nową. Mianowicie, pięć lat temu pewien inżynier francuski skonstruował model takiej wyspy, lecz nawet w naszej epoce, w której zdawałoby się niema rzeczy niemożliwych do zrealizowania, projekt ten został uznany za fantastyczny i niewykonalny. Była to mrzonka, jeśli nie poety, to inżyniera, lecz, jak wspomnieliśmy, działo się to już dawno (bo pięć lat temu). Dziś idea ta zeszła z wyżyn fantazji na trzeźwy grunt naszej planety i... realizuje się pod fachowem kierownictwem angielskiego inżyniera Edwarda Armstronga, który montuje pierwszy z ośmiu pomyślanych oceanodronów.

Inżynier Armstrong pierwszy wpadł na pomysł skorygowania niedbalstwa przyrody, która hojną dłonią posiała na oceanie mnóstwo wysp według planu, zupełnie nieodpowiadającego potrzebom awiacji. Jest rzeczą zrozumiałą iż stała komunikacja powietrzna między obu lądami nie da się urzeczywistnić przy braku takich wysp.

Pierwsza wyspa sztuczna na oceanie Atlantyckim, będąca płaską platformą o wymiarach 300 metrów długości i 100 metrów szerokości, otrzyma miano „wyspy Langley". Wyspa, cała zbudowana ze stali, spoczywać będzie na trzydziestu dwóch potężnych pływakach, które całkowicie rozwiązują kwestję jej zakotwiczenia. Jak bowiem wiadomo, najstraszliwsza burza nie mąci warstw wody, znajdujących się głębiej, niż 30 metrów od powierzchni morza. Poniżej tej granicy panuje niczem niezamącony spokój. Pływaki, z których każdy będzie mierzył 100 metrów wysokości, będą swemi podstawami tkwiły w tych właśnie nieruchomych warstwach wody W ten sposób wyspa Langley stale spoczywać będzie na jednem miejscu. Z drugiej strony, ponieważ powierzchnia jej wzniesie się na 25 metrów powyżej powierzchni wody, niema najmniejszej obawy, by zalać ją mogła najpotężniejsza fala.

Wyspę Langley zamieszkiwać będzie stale sześćdziesięciu ludzi, którzy zrekrutowani zostaną z pośród mechaników i obsługi hotelu i restauracji. Z przyholowaniem na miejsce koszta wyspy dojdą do wysokości trzydziestu pięciu miljonów franków.

Wyspa Langley, która znajdzie się w odległości 395 mil na południe od New-Yorku pomiędzy wyspami Bermundskiemi i kontynentem amerykańskim, będzie pierwszą z ośmiu ocanodronów, które podzielą przelot przez Atlantyk na osiem etapów. Gdy oceanodrony te znajdować się będą na swych miejscach, przelot z Londynu do New-Yorku potrwa zaledwie trzydzieści sześć godzin. Trasę tę obsługiwać będzie potężna eskadra, składająca się z 560-iu samolotów, które w ciągu roku będą mogły przewieźć około miljona pasażerów.



Spadochron rozwinął się... wszystko w porządku.

Na wyspach-oceanodronach zbudowane zostaną niewielkie, lecz konfortowo urządzone hotele, w których pasażerowie, przed dalszym wyruszeniem w drogę, będą mogli nieco wypocząć. Kierownicy przedsiębiorstwa „Armstrong Seadrom Developement Corporation", są zdania, iż wyspy te rozsiane po oceanie, w odległości wielu tysięcy kilometrów od zgiełkowego życia krajów cywilizowanych, mogą stać się wspaniałemi punktami, w których businessmeni będą mogli wypocząć należycie i podreperować nadszarpnięte nerwy. Oczywiście, iż będzie to dostępne jedynie dla miljonerów, lecz przedsiębiorcy sądzą, iż klijentów będą mieli wbród.

Stalowe platformy wysp zaopatrzone zostaną w potężne reflektory, których światło po nocach widoczne będzie z dalekich odległości. To pozwoli transatlantyckim statkom powietrznym łatwo orjentować się w sytuacji.

Budowa sztucznych wysp wysunie na porządek dzienny cały szereg problemów, nieprzewidzianych przez prawo międzynarodowe. A więc, czy wyspa sztuczna traktowana być winna, jako okręt, czy też, jako część terytorjum? A w związku z tem — jakiemu kodeksowi ma podlegać ludność wyspy? Wreszcie — to kwestje z innej już dziedziny — czy z chwilą wybuchu wojny wyspa będzie mogła spełniać rolę uzbrojonego portu?

Lecz jakkolwiek łamać sobie będą głowy nad temi kwestjami prawnicy i dyplomaci, pewnem jest, iż ostatecznie problemy tę będą rozstrzygnięte w duchu, najbardziej odpowiadającym interesom budowniczych tych wysp dolarowym miljonerom.

I tylko prawodawstwo po raz pierwszy zetknie się z takim objektem, który nie jest „ani rybą, ani mięsem", bo ani lądem, ani morzem.

*

Zetknie się prawodawstwo ale życia nie złamie, gdyż jego prawo jest silniejsze od wszelkiego prawa.

Most, łączący Europę i Amerykę musi powstać, bo tego wymaga rozwój kultury i cywilizacji świata.

I powstanie!

Wysiłek genjusza ludzkiego temu dopomoże.

L. RON



Przed skokiem z aeroplanu.

Rozmowa Papierosów

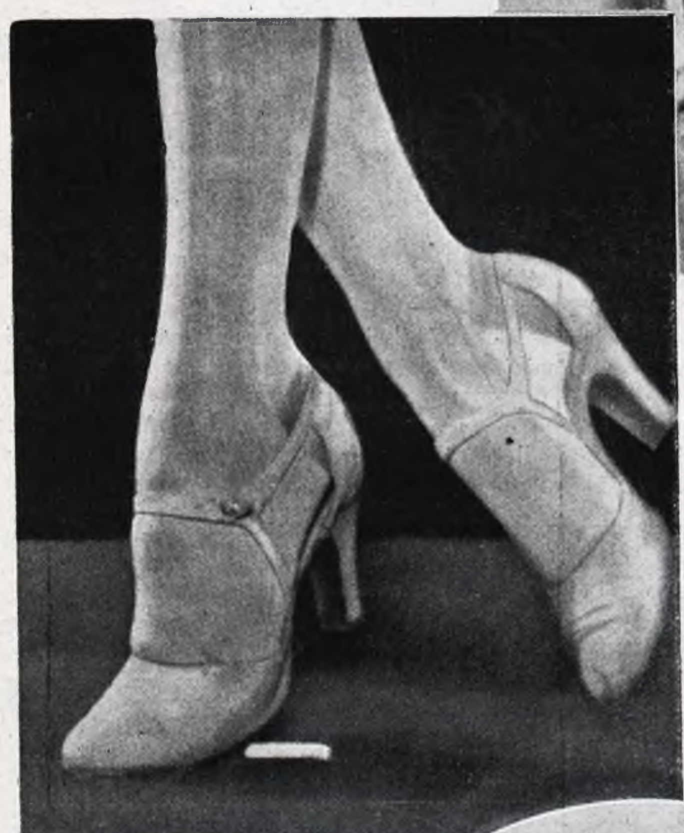
Paryżanki zorganizowały klub „Palaczek", gdzie chodzi nie tyle o palenie, ile o ustalenie rozmowy za pomocą papierosów. Rozmowa ta zapowiada się jako modny rodzaj flirtu w najbliższym czasie. Mogą to samo opracować i mężczyźni. Jak rozmawiać, podajemy...



Owszem!...



Oczekuj mnie!...



Chyba że tak...



A czy masz pieniądze?...



Bardzo jesteś mój...



Nie interesujesz mnie!..



Podobasz mi się..



Możemy pomówić...



Muszę się zastanowić...



Nie myślałam o tem...

CLAUDE FARRERE

BOŻEK



Bożek, o którego chodzi, to hinduska kość słoniowa, którą pewien Senegalczyk sprzedał mi ongiś za 30 rupji w Monte Lawinia na Ceylonie, na tarasie sławnego hotelu, w którym spożywa się najlepszy na świecie „curry". Owa kość słoniowa przedstawia tęgą kobietę, przykucniętą, która dłońmi sześciu gestykulujących ramion wywija sześcioma obciętemi głowami, wciskając je do gardła. Jest to pewien rodzaj Tanagry w guście azjatyckim — dość straszliwy. Przypuszczam jednak, że nie wierzycie wogóle w kłamstwa transmigracji i metampsychozy? A więc zostawimy mego bożka w spokoju, niema on, rozumie się, nic wspólnego z przygodą, którą pragnę opowiedzieć.

Jest to stara przygoda z przed lat blisko dwudziestu.

Określam ściśle: przygoda, która mi się przydarzyła w poniedziałek 2 marca 1903 roku w Salonikach w Macedonji w uliczce górnej dzielnicy żydowskiej. — Za nic w świecie nie ogłosiłbym tego za życia Churaha Sungha który wraz ze mną był jej bohaterem. Ale Churah Sungha umarł przed wojną w swojej stolicy Sahara - Jonpur bezdzietnie. Nie przeszkadza to więcej w odkryciu tej tajemnicy.

Churah Sungh, jak wiadomo, był w chwili śmierci raonem Saharajonpuru pod zwierzchnictwem cesarza Indji. — Lecz w roku 1903 był on jedynie dziedzicznym księciem i w mojem towarzystwie odbywał podróż po Europie. Zawarliśmy przyjaźń sześć lat wcześniej na Ceylonie... w rzeczywistości i dokładnie w tym samym dniu, w którym kupiłem owego bożka w Monte-Lawinia. Było to podczas obiadu. Churah Sungh, elegancki w kostjumie podróżującego księcia i w swoim pstrym turabie, nie mógł się porozumieć z tybulczemi dyrektorami hotelu, przerażonymi i zmieszanymi.

— Rao Sahibie — rzekłem — czy nie życzysz pan sobie tłumacza?

Począł się śmiać i odpowiedział po angielsku:

— Sądzę, że tak. Jestem Puntiabim; nie znam gwary tych dzikich z południa. Lecz na Jowisza! pan mówisz wszystkiemi językami?

I nasza znajomość była nawiązana. W godzinę później kupiłem bożka. — Teraz na niego przyszła kolej w oddaniu swej wiedzy na moje usługi.

— Na Boga! — rzekł, rzuciwszy spojrzenie na bożka — na Boga! To moja babka!

— Pańska?

— Ależ tak, drogi panie. To jest Kali, sześcioramienna bogini. I my, raonowie Saharajonpuru, pochodzimy w prostej linji od Kali. Chociaż, jak pan widzi jesteśmy zdegenerowani.

Z uśmiechem uderzał się po łopatkach, z których wyrastały dwa muskularne, lecz naturalnie tylko dwa ramiona.

Był to książę hinduski, któremu nie zbywało na niczem, wychowanek Santhurstu, oficer angielski, ubrany po angielsku od stóp do głów. Bardzo dobry Hindus, bardzo dobry — lecz jedynie w duszy.

W istocie; — drugiego marca 1903 r., o 8-ej godzinie wieczorem Churah Sungh i ja wyszliśmy z naszego hotelu na ulicę Paralelle w Salonikach, aby pójść na obiad do dowódcy międzynarodowej żandarmerji. Przybyliśmy do Salonik dnia poprzedniego. Wróciliśmy z wycieczki w okolicy Mitrowicy. Rewolucja komitadżów była w pełni. Byli to złowrodzy gałgani; ci sami ludzie, nad których losem rozczulała się Europa, — w czasie gdy miała łzy do wylania. W każdym razie artykuły moje, które ukazały się w „London - Herald", przyniosły mi w ciągu wyżej wspomnianej wycieczki tuzin listów z pogróżkami i strzał dany z za płotu, który chybił o dwa cale. Po owym strzale oświadczyłem Churah Sunghowi, by rozszedł się z takim, jak ja, niebezpiecznym towarzyszem. Ale on rozgniewał się bardzo:

— Za kogo mnie pan uważa, mój stary? Na Jowisza, przypuszczam, że jestem gentlemanem!

Klął naturalnie zawsze po angielsku. I rzeczywiście był gentlemenem bez zarzutu, angielskim, jak to już powiedziałem, aż do kończyn paznogci, ale Hindusem w głębi duszy, Hindusem aż do szpiku kości. — A więc owego wieczoru poszliśmy razem najpierw na ulicę Paralelle, wybrukowaną szerokiemi płytami, następnie w małe uliczki, wdzierające się w przedmieście i wyłożone ostremi kamyczkami. Było ciemniej, niż w piekle, gdyż niebo zwisało chmurnie, a latarni ulicznych nie było. Zaledwie rozpoznawałem drogę, którą szedłem. Lecz ci, którzy zwiedzali Saloniki i którzy znają ten labirynt, zrozumią łatwo, dlaczego po półgodzinnem dreptaniu i chodzeniu poomacku zbłądziłem.

— Churahu Sungh — rzekłem zdyszany — nie wiem gdzie jesteśmy. Najlepiej byłoby wspiąć się aż na górne tarasy, skąd zobaczymy miasto.

— Wspinajmy się, na Jowisza! Przykrem jest to, że spóźnimy się na obiad!

Wistocie przewidział, że przybędziemy zapóźno.

Kiedyśmy się puścili na los szczęścia w ciemną i krętą uliczkę, jak krecia jama, otrzymałem nagle z tyłu straszliwe uderzenie w kark i bez jęku padłem jak długi na ziemię. — W pięć minut potem przyszedłem do siebie i stwierdziłem natychmiast, że leżę jeszcze na bruku, na tem samem miejscu, lecz skrępowany jak kiszka: a kiedy otworzyłem usta, aby krzyczeć o pomoc, jakiś wielki djabeł, o bestjalskiej twarzy Bułgarów, przyłożył mi do twarzy ostrze noże. Milczałem.

Leżałem na prawym boku, a mój kat siedział przedemną na piętach. Widziałem zresztą tylko straszną twarz, gdyż nie wątpiłem ani na chwilę, że wpadłem w ręce komitadżów i nie powątpiewałem co do mego losu; ci łajdacy zawlekli mnie na macedońskie drogi, nie czyniąc mi nic złego.

Upłynął kwadrans, — usłyszałem kroki; na brzeszczocie noża, przywartego do mojej szyi, zabłysło światło latarni. Jakieś ręce podniosły mię i oparły plecami o mur. Pierwszą rzeczą, którą nagle zobaczyłem, był Shurah Sungh, skrępowany, jak ja, i podobnie, jak ja oparty o mur.

Siedział przykucnięty. I — jak Hindus wyzwolony nagle z angielskiej powłoki w godzinie silnego wzruszenia — przykucnął rozkraczywszy kolana i ustawiwszy poziomo nogi, jak tylko człowiek z Azji przykucnąć potrafi, całkiem tak, jak przykucnął mój bożek.

Nie miałem czasu zastanawiać się nad tem, wobec mego położenia. Człowiek z latarnią oświecił mi twarz, a drugi — było ich razem ośmiu czy dziewięciu — zazierał mi pod nos.

Ów właśnie, mniej srogi, niż jego towarzysze wydawał się bardzo kłopotliwym z powodu swego incognito: czarna maska, doskonale zrobiona, nie pozwalała odkryć niczego prócz oczu.

Przez nieokreślony czas badał mnie w milczeniu. Potem nagle wyjął z kieszeni dwa numery „London Heralda" i, rozpostarłszy je, położył palec na mój podpis.

— Czy to pan, Haroldzie Forth? — spytał w złej angielszczyźnie.

Nic odpowiedziałem ani tak, ani nie. Zaśmiał się szyderczo; nie wątpił o tem. Drugi łajdak zbliżył się do niego i wskazał mu Churaha Sungha. Wzruszył ramionami i wybełkotał kilka słów, których nie rozumiałem. Lecz ruchy, które im towarzyszyły, były jasne. Zresztą dla pewności wyrok śmierci ogłoszono nam po angielsku. Człowiek w masce wyjąkał jako tako:

— Komitet bułgarski w Salonikach skazał was na śmierć. Będziecie straceni.

Nóż począł w dalszym ciągu naciskać mnie w grdykę. Oczywiście zbytecznem było krzy-

cześć. Zresztą domy, które nas otaczały, ciemne od góry do dołu i okratowane, jak fortece, pozbawiały wszelkiej nadziei na jakąś pomoc. Twierdzą, że zbliżanie się śmierci pobudza czynności naszego mózgu. Możliwe. Ja jednak nie doznawałem niczego podobnego w tej chwili. Odczuwałem raczej głuchą i bezwładną rezygnację. Przypominam sobie, że było mi bardzo zimno w krzyżach, potem myślałem niewyraźnie o tem, że jako Anglikowi, skazanemu na stracenie, wypada mi dać lekcję odwagi swym zabójcom, umierając odważnie i z podniesioną głową. Wkońcu myślałem dorywczo w bezwarunkowem następstwie ludzi i rzeczy: o moim ojcu, którego widziałem umierającego w swojem łóżku, na morskiem wybrzeżu, w Brightonie — o partji pokera, którą wygrałem w przeddzień — i nie wiem dlaczego, o bożku...

Ostatnia myśl przyszła mi do głowy w chwili, gdy dwoje brutalnych rąk rzuciło mnie na kolana. Była to prawdopodobnie reminiscencja danej lektury, gdyż w książkach dzieją się rzeczy podobne; obróciłem się ku Churah Sunghowi:

— Rao Sahibie — rzekłem — czy przebaczysz mi pan, iż jestem przyczyną pańskiej śmierci?

Nie odpowiedział nic. Spojrzałem na niego: nie zemdlał. Widziałem jego oczy, czarne i białe, oczy hinduskie, świecące groźnie w ciemności. I słyszałem jak szeptał nieznaną i niezrozumiałą jakąś modlitwę, w jednym z tych kapłańskich języków północnych Indyj, którego słuchają jedynie kapłani i tamtejsi królowie.

Nagle kaci chwycili go. Chciano go pierwszego — zabić. Widziałem go ciągle przykucniętego, z torsem wyprostowanym, zupełnie podobnym do bożka.

Dwaj ludzie trzymali go za ramiona. Trzeci zbliżał się z nożem w ręku. Człowiek w masce, który przypatrywał się, postąpił naprzód, aby lepiej zobaczyć.

I nagle stała się rzecz tajemnicza i straszna. Obaj ludzie, którzy trzymali Churaha Sungha, puścili go gwałtownie, a ręce ich przyskoczyły do własnego gardła, jakby chcąc oderwać od niego niewidzialne szpony. W tej samej chwili krzyknęli, ale głosem już zduszonym i ochrypłym, a fałszywy ich głos skończył się okropnem rzężeniem. Człowiek w masce i człowiek z nożem, również zaatakowani — czy zaatakowani? — szamotali się również i charczeli w nagłych wstrząśnieniach. Było to tak... jakby Churah Sungh udusił własnemi rękami czterech nędzników. Jednak ja widziałem przedemną jego ręce, obie jego ręce skrępowane wzdłuż ciała.

Wyprężyły się potem stały się czarne. Cztery ciała, skrępowane w konwulsjach, runęły bezwładnie. Widziałem, jak padły już martwe. Już dawno przedtem reszta bandy uciekła, wyjąc z trwogi.



I w nadnaturalnej ciszy, która nastąpiła, przypominam sobie, że słyszałem szczękanie moich własnych zębów.

W godzinę potem stróż nocny rozkneblował nas zdrowych i całych. Ponieważ byliśmy przyjaciółmi dowódcy międzynarodowej żandarmerji, nie było żadnego śledztwa; zmarłymi byli czterej komitadżowie, których rozpoznała i wyszukała policja.

Nikomu nigdy nie wspomniał Churah Sungh o całej tej przygodzie. A jeśli opowiadam ją teraz, to jedynie dlatego, że Churah Sungh umarł już bezpotomnie i że rasa raonów Saharjonpuru wygasła, a wskutek tego nie istnieje żaden potomek bogini Kali.

J. BAYKOWSKI

Z CYKLU „PRZETASOWANE NASTROJE"

A KIEDY LALKA...

A kiedy lalka dosyta nawącha się róż,
I kwiaty zwiędną... (naturalnie!)
Laleczkę na toaletce złóż
Po lewej stronie. Niech banalnie
Pajac, wpatrzony w ust jej kruż,
Uśmiechem płacze zdaleka...
Jak zawsze bez racji
(po kolacji).

JAKIŚ WIECZÓR

Jakiś wieczór mi się marzy,
Czyjeś ręce, czyjeś słowa...
Czyichś oczu zadumanych
Toń błękitno-szmaragdowa
I cień smutku czyjejś twarzy...
Marzy się jakaś rozmowa
Z jakichś słów niepowiedzianych...

MAKI

Miałem sen kiedyś. W złotym blasku słońca
Rozległe — kędy spojrzy oko
Stało się morze maków — w dal bez końca
Bezbrzeżnie długo i szeroko.

Gdy tak z makami byłem sam,
Co czynię — nawet nie wiedziałem.
Jam wszedł przez progi szczęścia bram
I cudne maki całowałem...

Wtem wtargnął ktoś na purpurowe łany,
Od ust mi kwiaty rwał brutalnie...
Słońce się skryło... maków cud — zdeptany.
A tamten — śmiał się triumfalnie.

Wśród pola z nim — my sam na sam,
Nie mogłem pojąć, co się stało,
Runęły arki szczęścia bram,
A wokoło śmiechem echo drżało.

Wtedy w rozpaczy niemej skamieniałem,
Przekleństwo wzrok mój ogniem pali,
Padł świętokradca — kiedy nań spojrzałem.
Niby od pchnięcia ostrej stali.

I znów z makami byłem sam
Złamane kwiaty podnosiłem,
Stojąc wśród gruzów szczęścia bram,
Płatki do bladych ust tuliłem.

KOPERNIK I LIRYKA

Prastara baśń Kopernikowa
Że świat, okrągły, niby głowa
Ma zamiar kręcić się bez końca —
Wkrąg słońca.

A my, poeci z Bożej łaski,
Tragizmu czarne wdziawszy maski,
Umiemy ziemię imitować:
Kołować.

Słońcem jest miłość (nieszczęśliwa).
A nasza brać liryczno-ckliwa
Dokoła krąży jak planety —
Niestety.

PRZEDSMAK STAROŚCI

Odchodzi gdzieś ode mnie życie,
I czuję coś... jak lęk,
Że wszystko, co kochałem skrycie,
Zatraca dla mnie wdzięk.

Niebezpieczeństwa i ekstazy,
I wielkomiejski gwar,
Koronki, jedwab, tiule, gazy
I brzęk biesiadnych czar.

I wszystko, wszystko to, co było,
Jak woń szkarłatnych róż,
Co się kochało, w co wierzyło,
Umiera dla mnie już.



Z CZEGO SIĘ ŚMIEJE • JAPOŃCZYK •



Jednym z bogatych działów twórczości japońskiej wogóle jest humorystyka, na szeroką skalę uprawiana oddawna i w sztuce i w poezji. Lecz o ile w sztuce, zwłaszcza w malarstwie, jest zrozumiała, o tyle w poezji w swoich najbardziej charakterystycznych i specyficznie japońskich przejawach nie jest i nie może być łatwa i dostępna dla europejskiego ogółu.

Wypływa to przedewszystkiem z ogólnych właściwości japońskiej poezji, pełnej tradycyjnie utartych napomknień, niedomówień i cudactw stylistycznych i pozatem, zwłaszcza w poezji humorystycznej, z psyhiki języka, w którym takie np. pojęcia i obrazy, jak „łątka" lub „hiszpański pieprz" należą do niezwykle śmiesznych, wywołujących w zestawieniu z innemi kaskadę niemilknącego śmiechu.

Oto dwa krótkie humorystyczne utwory, które przytaczamy dla wykazania ich swoistości po japońsku.

Kiedy pewnego razu poeta Basho udał się podczas lata na konną przejażdżkę w towarzystwie swego służącego Kikaku (później również sławnego poety) i ujrzał czerwoną fruwającą łątkę, Kikaku zawołał:

Aka-tombo... hane wo totota to-garashi!	Czerwona łątka... skrzydła jej obetnij. hiszpański pieprzu!

Basho nie pozostał dłużnym służącemu-poecie i odpowiedział również dowcipem na dowcip:

To garashi... hane wo tsuke'ara aka tombo!	Hiszpański pieprz... skrzydła mu nałóż czerwona łątko!

Przeanalizujmy humor japoński w tych dwu niezmiernie charakterystycznych utworach, które do szczerego śmiechu pobudzą najbardziej zasępionego Japończyka.

Przedewszystkiem w grę wchodzą, jak już zaznaczyliśmy uprzednio, dwa komiczne z punktu widzenia japońskiej psychiki językowej obrazy: łątka i pieprz hiszpański. Przytem łątka ma być z obciętemi skrzydłami, co jeszcze wzmaga komizm sytuacji, bo jeżeli łątka, jako taka, jest okazją do roześmiania się, to cóż dopiero oszpecona, z obciętemi skrzydłami. Następnie wyrażenie „hiszpański pieprz" utarło się w Japonji tak, jak dajmy na to u nas słowo „medyk" w pojęciu gwary ludowej, gdzie oznacza niesympatycznego mędrka i nawet może być przyczyną obrazy.

To są czynniki wewnętrzne, oprócz których oba utwory mają jeszcze zewnętrzne czynniki humorystyczne. A więc przedewszystkiem w grę wchodzi tak zwana forma „tankauta", najbardziej zabawna i figlarna wśród wszystkich rodzajów japońskiego wiersza. Następnie, jeżeli zwrócimy uwagę na oba utwory, to zauważymy, że różnią się one tylko tem, iż są odwrócone w stosunku do siebie i że jedno zaledwie słowo, i to brzmiące podobnie, zostało zmienione („tototara" — obetnij na „tsuketara" — nałóż). Ta właśnie kombinacja stylistyczna należy do bardzo udatnych, zręcznych i dowcipnych z punktu widzenia utartych i uświęconych przez tradycję zwrotów poezji humorystycznej.

Nie jest więc nieuzasadnionem twierdzenie, że w swoich najbardziej charakterystycznych i specyficznie japońskich przejawach poezja humorystyczna Japonji nie jest i nie będzie nigdy łatwą, dostępną i zrozumiałą dla europejskiego ogółu.

Nie wszystkie jednak utwory poezji humorystycznej japońskiej podlegają tej kategorji, gdyż są i takie, gdzie wewnętrzna sytuacja humorystyczna opiera się na tle ogólno-ludzkiem i najzupełniej nadaje się do przeniesienia na każdy inny grunt. Zwróćmy się zatem do takich utworów i poszukajmy zasadniczych motywów, wypełniających ich treść i wnętrze.

Na pierwszy plan przez swoją ilość i jakość wysuwają się tu utwory, w których jądrem humoru jest pełen pogody i swobody stosunek do religji. Śmieją się też nieraz poeci, nie szczędząc ani Konfucjusza, ani Buddy, nie mówiąc już o pomniejszych jej przedstawicielach. Oto dla przykładu:

Przez osiemdziesiąt lat
smacznom żem pił i jadł,
kimono-m ciepłe miał,
więc Buddo za mój dział:
cześć ci i chwała chwał!

Takim jest krótki utwór pod tytułem „Łabędzia pieśń umierającego poety", który i nagłówkiem i treścią w zupełności odpowiada swemu humorystycznemu zadaniu. Oto jeszcze jeden z wielu zwróconych przeciw Konfucjuszowi:

„Gdy prawy syn rodzica straci,
żałobą serce niech bogaci
i przez lat trzy od prac się cofa"

Zapewne myślał, iż ze strachu
taki się znajdzie idyota,
co nie załata dziur na dachu,
nawet gdy będzie chłód i słota.

Nic więc dziwnego, że wobec takiego stanowiska Japończyków w stosunku do religji i jej twórców, jednym z najbardziej wyzyskiwanych tematów w humorystyce są bonzowie. Wszystkie przywary, własności i śmieszności ludzkie im są przypisywane w najwyższym stopniu. Oto z pośród wielu krótka, lecz dosadna ilustracja pod tytułem: „Do zdartej miotły":

O miotło moja, nic żeś warta,
już na spoczynek sobie idź.
łysy masz łeb, z liścia-ś odarta,
jedynie bonzą możesz być

Do zwykłych tematów poezji humorystycznej japońskiej należą też tematy pijackie, z prawdziwą zrecznością i dowcipem wyzyskiwane przez cały szereg poetów i poetek. Przytoczymy dla przykładu popularny bardzo wiersz o „sake", czyli o wódce japońskiej:

Gdyby czarów groźne siły
miał nasyłać na mnie Pan,
proszę, by mnie zamieniły
w rozpienionej sake dzban.

Piłbym wtedy, pił wytrwale
z głębi serca czarom rad,
i jak człowiek bym już wcale
nie chciał wracać znów na świat.

Wielkim zapewne zwolennikiem „sake" musiał być autor powyższego utworu, skoro nawet szczytem jego marzeń jest stać się dzbanem, pełnym rozpienionej „sake" i w tej postaci trwać już na wieki.

Tematy pijackie należą do najstarszych tematów humorystycznej poezji japońskiej, sięgając bardzo zamierzchłej przeszłości, jak naprzykład następujący i po dziś dzień śpiewany ludowy przyśpiew pijacki:

Pijcie, pijcie, wysączajcie,
tylko z nóg się nie zwalajcie,
idźcie prosto, naprzód, śmiało,
aby ze łba wywietrzało.

Wypróżniona sake stara,
moc jej w żyłach wre i gra....
Tanna tara, tanna tara,
taritsziri, tanna ra!

Rozpatrzmy jeszcze kilka motywów humorystycznych japońskich, wybierając z pośród nich bardziej zręczne, jak naprzykład pełen pogody i dowcipu wiersz o „Starości":

Starość — to nieproszony gość,
niestraszny, gdyśmy młodzi,
nie powiedziałem jeszcze „dość",
a on w próg domu wchodzi. .

Cóż począć? Gość, jak z nieba, spadł
w objęciach mnie już trzyma
więc rzekłem: — Bardzom, bardzom rad,
tylko... mnie w domu niema.

Albo następujący motyw humorystyczno-miłosny pod tytułem „Nie warto":

Nie warto rzeźbić, przyjacielu,
miłosnych słów na grzbiecie fal,
Czyniło to już głupców wielu,
lecz woda je uniosła w dal...

Na djabła wielbić potajemnie,
choć najcudniejszej dziewy czar,
gdy ust nie pali w nocne ciemnie
jej pocałunków boski żar.

Jędrnie i otwarcie postawiona kwestja przez nieprzebierającego w wyrazach autora, który stanowczo o platoniczne uczucie posądzany być nie może.

Jest w japońskiej poezji humorystycznej jeszcze jeden dział bogaty, uprawiany oddawna, mianowicie artystyczna pornografja. W tej dziedzinie spotykamy nawet szereg rozgłośnej sławy poetów — specjalistów, wyłącznie oddanych twórczości tego rodzaju.

Artystyczna pornografja pod postacią odpowiednich rysunków i utworów wierszowanych z biegiem czasu rozwija się coraz bardziej i szybciej, aż w XIII w. do tego stopnia zalała i zatopiła kraj, że rząd japoński, biorąc pod uwagę jej cynizm i niemoralność w roku 1791 jak najsurowiej zabronił rozpowszechniania, a nawet czytania wszelkich pornograficznych utworów. Rzeczywiście t. zw. „Sarebony" (Księgi dowcipu) t. j. antologje pornograficzne z biegiem czasu zatracały swój charakter artystyczny, to też wcale nie ze szkodą dla sztuki zostały usunięte z życia.

Dla przykładu zilustrujemy jeden z wcześniejszych „Sarebonów" początkiem jednego z utworów:

Gdy winem zaślni czasza
wśród przyjacielskich sjest
porcelanowa flasza
małżonką moją jest. .

A żona? Inny może
składać jej hołd i cześć,
ja w aksamitne łoże
kochankę pragnę wnieść...

Dalej, można zacytować tylko w gronie dobranych przyjaciół...

AUTOR I KSIĄŻKA



Przyjemna i wygodna lektura, osładzana czekoladkami, jest prawdziwą rozkoszą...

KU KOŃCOWI CYWILIZACJI RASY MĘSKIEJ

Cywilizacja męska ma się najwyraźniej ku końcowi — tak twierdzi w przedmowie do swojego dzieła p. t. „Polskie kobiece stowarzyszenia i związki współpracy międzynarodowej kobiet", p. Jan Belcikowski.

Dlaczego?

Dlatego, że najwidoczniej doprowadzi świat do nowej wojny, gdyż nie zawiera w dostatecznej ilości tych pierwiastków biologiczno - psychologicznych, któreby mogły zabezpieczyć solidarną współpracę narodów.

Do takich pierwiastków zaliczano przed wojną: pierwiastki kultury, elementy t. zw. interesu klasowego, elementy życia gospodarczego, no i, ostatecznie, domniemaną wrażliwość wspólnego frontu wyznaniowego.

Wszystkie te atoli pierwiastki w rezultacie nie wytrzymały próby dziejowej. Przyszła wojna, i ludzie tejże kultury, tej samej klasy, tegoż stanowiska gospodarczego, tychże wyznań poczęli się mordować wbrew najszczytniejszym swoim hasłom i najpostępowszym programom.

Nie dziw więc, że świat stracił wiarę jak w siłę tych pierwiastków tak również i w szczerość i sumienność ich rzeczników społecznych i politycznych.

Jednocześnie potęgował się i wzrastał w siłę ruch międzynarodowy rasy kobiecej.

I oto ta nowa solidarność międzynarodowo kobieca przedstawia silniejszą gwarancję urzeczywistnienia zgodnej współpracy ludów. Podstawą jej bowiem jest samo życie, najistotniejsze instynkty życiodajne, wreszcie ta „święta tajemnica miłości", miłości wogóle a macierzyńskiej w szczególności.

Można się zgadzać z autorem ciekawej książki o kobiecym ruchu międzynarodowym w Polsce, w każdym jednak razie praca p. Jana Belcikowskiego zasługuje na specjalną uwagę, jako jedyna dotąd publikacja na świecie obejmująca całość wielomiljonowego ruchu kobiecego, w czem mamy osiem organizacyj międzynarodowych i dziewięć centrali polskich, w związku z czem, jak twierdzi autor, kobiety przy wyborach do Sejmu i Senatu żądać będą większej, niż dotąd liczby mandatów.

Wydanie książki, jak wszystkie wydawnictwa „T-wa Wydawniczego — Polska Zjednoczona" bardzo staranne. Cena książki zł. 4.80.

14.600.000.000 DZIENNIKÓW ROCZNIE W AMERYCE

Takie dane za rok ubiegły ogłosił w Waszyngtonie departament handlu, uzupełniając je ilością zużytego na druk papieru, co wyraża się zawrotną dla nas cyfrą — 1.100.000 ton.

Rekord, zaiste amerykański. Imponować w nim może nietylko cyfra wydanych książek, lecz i liczba nakładu każdej z nich, osiągająca przeciętnie 20.000 egzemplarzy.

Dla pełni obrazu dodajmy jeszcze liczbę czasopism.

Otóż Stany Zjednoczone w roku ubiegłym posiadały 2.500 dzienników, drukowanych w nakładzie 40.000.000 egzemplarzy.

Tak zwanych „magazynów" ukazywało się przeszło dwa i pół tysiąca, w tem 700 „magazynów" dla rolników i 300 „magazynów" dla dzieci i młodzieży. Ogólna ilość egzemplarzy tygodników, wydrukowanych w roku 1928, wyniosła — 55.000.000; miesięczników — 95.000.000; pism nieperjodycznych — 20.000.000.

Oprócz zatem książek wydano w Stanach Zjednoczonych w roku ubiegłym — 14.600.000.000 egzemplarzy dzienników i czasopism, co pochłonęło dodatkowo 1.50.000 ton papieru

Z przyjemnością i ku rozwadze wszystkim cytujemy te ciekawe cyfry z kraju, który, najniesłuszniej w świecie, imponuje nam tylko rekordami... sportowemi.

Okazuje się, że i o mózg obywatela Ameryka dba wcale nienajgorzej.

KSIĄŻKA I „PÓŁ CZARNEJ"

— To nie do wiary — opowiada nam jedna z inteligentniejszych pań bibljotekarek warszawskich — jakie ogony nieraz zjawiają się u nas, by przeczytać tę lub inną nowość na rynku wydawniczym, kosztującą 5 lub 4 złote.

A ileż czasu marnuje taki jegomość na czekanie, skracając je porcjami „pół czarnej" w pobliskiej cukierni, co wynosi więcej, niż cena książki.

Nie kupi jednak, woli doczekać się, by choć po kilku dniach przeczytać ją, w swojem mniemaniu, za... darmo.

NAGRODY ZA PIĘKNO KSIĄŻKI

Tytuł i okładka to dwa najistotniejsze warunki powodzenia książek — tak pono oświadczył żartobliwie jeden z najpoczytniejszych współczesnych pisarzy.

W żarcie tym tkwi i ziarno prawdy.

Zewnętrzna strona książki jest kwestją pierwszorzędnej wagi dla każdej z nich, choćby najbardziej interesującej pod względem treści. Stąd dbałość o estetykę książki jest dbałością o kulturę czytelnika. Nie można tego, niestety, powiedzieć o wielu naszych książkach, które co do staranności graficznej są niżej poziomu najprzeciętniejszych wymagań ludzkiego oka. Szkoda, że nie możemy czy nie chcemy sobie pozwolić na nagrody za piękno książki, co byłoby bodźcem dla nanaszych wydawców.



Ciekawa książka...

MODNE OBUWIE NA ROK 1930



Wzór Nr. 1.



Wzór Nr. 4.

Obuwie pięknej pani to jeden z najważniejszych elementów jej tualety. Gdy nóżka ładnie upończoszniona (wybacznie ten nowotwór! — przyp. red.) i misternie obuta, cały wdzięk i uroda, jak piękna rzeźba na pięknym piedestale, prezentują się wspaniale, wspanialej nawet, niż zdawać się może laikowi, nie posiadającemu poczucia linji estetycznej piękna, którego wyrazem w życiu jest kobieta.

— W pięknem ciele, piękna dusza! — oto strawestowana zasada sportowa, jeżeli chodzi o obraz kobiety współczesnej.

Dlatego też wszystko, co podnosi jej urodę, jest ważne nietylko ze stanowiska egoistycznego, lecz także dla kultury estetycznej społeczeństwa.

A więc porozmawiajmy o modnem obuwiu na rok 1930...

* * *

Obuwie sportowe ma niezmiennie swój krój klasyczny (wzór Nr. 1). Jeżeli zaś zachodzą pewne zmiany, to zawsze zachowuje swe cechy prostoty, jak to widzimy na wzorze Nr. 2, którego nowością jest szeroki pasek z bronzowego boxu, z którego jest wykonany cały pantofelek.

Obuwie spacerowe typu sportowego jest bardziej ozdobne, jak to widzimy na wzorze Nr. 3: wykonane jest z bronzowego zamszu z ozdobnem dziurkowaniem. Drobne stebnowanie jest również modne.

Obuwie wizytowe jest wyższe w podbiciu, bez paseczka. Lakier łączy się z zamszem, lub z chevreau w tym samym tonie (wzór Nr. 4). Trochę aplikacji z innej skóry, lecz w tym samym kolorze, kokarda lub języczek, zakończony niedużą klamrą metalową lub z emalją są w dobrym tonie (wzór Nr. 5). Przy kostjumach „tailleur" klamry przy obuwiu muszą być większe.

Dodatkiem do sukien poobiednich musi być wycięty pantofelek, ozdobiony delikatną aplikacją (wzór Nr. 6).

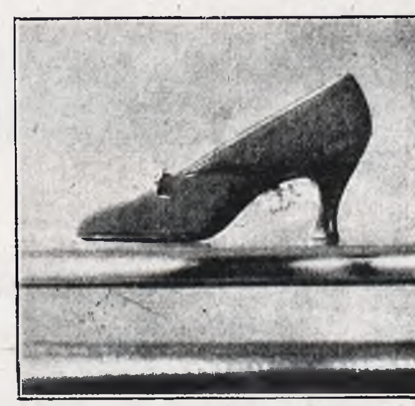
Do balowej sukni najbardziej pasuje pantofelek gładki, zrobiony z tegoż materjału, co i suknia. Kolor klamry dostosowuje się również do całości toalety. Klamry te są wykonane z emalji i otoczone strassami.

Obcasy są coraz wyższe i cieńsze.

Jednak pantofelek z paseczkiem jest nadal modny pod warunkiem, iż jest wykonany z kolorowego crêpe de Chine, ozdobionego wąskiemi aplikacjami ze skórki srebrnej lub złotej (wzór Nr. 7).



Wzór Nr. 2.



Wzór Nr. 5.



Wzór. Nr. 3.



Wzór Nr. 6.

GOSPODARSTWO DOMOWE

BLINY Z MANNEJ KASZY

Zagotować jedną szklankę mleka, wsypać do tego 3/4 szklanki mannej kaszy, dodać pół łyżki masła i wygotować tę kaszę zwykłym sposobem, potem ostudzić. Przed samym obiadem dodać 3/4 szklanki mąki pszennej, dwie szklanki mleka, wbić 2 całe jaja, trochę posolić, wymieszać to wszystko na jedną gładką masę i smażyć na małych patelenkach.

x. y.



Wzór Nr. 7.

GOSPODARSTWO DOMOWE

OMLET Z KONFITURAMI

4 białka utrzeć do białości z 20 dkg. cukru, dodać półtorej torebki proszku wanilji, potem dodać 4 żółtka, wymieszać dobrze, dodać 3 duże łyżki mąki, wylać na blachę wysmarowaną masłem i wysłaną woskowym papierem, i piec w niezbyt gorącym piecu. Po upieczeniu przełożyć marmeladą lub konfiturami i zawinąć. Z wierzchu można posypać cukrem.

x. y.

CZAS I MODA SIĘ ZMIENIA...



Drużyna łuczniczek z roku 1910.



Drużyna łuczniczek z roku 1930.

O pielęgnacji włosów

I.

Widząc w pismach codziennych ogromną ilość reklam, zachwalających patentowane środki na wzmocnienie włosów lub niezawodne specyfiki na przedwczesne łysenie, mimowoli przychodzi na myśl przysłowie: „nie myli się ten, kto liczy na głupotę ludzką".

Wystarczy bowiem, aby ktoś przedsiębiorczy ogłosił w prasie o wynalezionym „płynie na porost włosów", a niewątpliwie „cudowny" ten środek będzie rozchwytywany przez łatwowierną publiczność. Niestety, nabywcy takich środków rekrutują się nietylko z pośród sfer mniej inteligentnych. Do tego rodzaju reklam należy odnieść się bezwzględnie z najsurowszą krytyką. Trzeba bowiem zrozumieć, że niema i nie może być „uniwersalnego" środka na wzmocnienie włosów, który w jednakim stopniu nadawałby isę dla każdego. W kosmetyce obowiązuje cenna zasada: „nie wszystko jest odpowiednie dla wszystkich"; innemi słowy, te środki, które są korzystne dla skóry jednego, mogą się okazać szkodliwemi dla drugiego. Zwlaszcza należy się liczyć z tą maksymą przy pielęgnacji włosów; wiemy np., że jedni, chcąc uratować swoje włosy, zmuszeni są myć często głowę mydłem i spirytusami, u innych zaś, przeciwnie — częste stosowanie tych środków może wywołać wręcz katastrofalne wypadanie włosów. Lecz, pomijając powyższe uwagi, musimy z całym naciskiem podkreślić, że racjonalne pielęgnowanie włosów nie da się pomyśleć bez troski o zdrowie ogólne organizmu. Tylko lekarz, zbadawszy wszechstronnie i dokładnie chorego, może zalecić odpowiednią pielęgnację włosów. Cały szereg schorzeń oganów wewnętrznych pociąga za sobą zmiany chorobowe nietylko skóry, lecz i włosów; zastosowanie leków wewnętrznych wespół z troską o hygjenę ogólną i racjonalną djetę ma wielką wartość zarówno przy cierpieniach skóry, jak i włosów.

Przedewszystkiem nasuwa się pytanie, co nalży czynić, aby uchronić włosy od wypadania?

Wbrew utartemu poglądowi, wcale nie jesteśmy bezsilni i dużo możemy zrobić w tym kierunku. We włosach znajdują się określone pierwiastki chemiczne, wśród których na pierwszy plan wysuwają się siarka, krzem i żelazo Ponieważ w pierwszych pokarmach, jak w owsiance surowych jajach i w surowem mleku też same pierwiastki znajdują się w obfitości, spożywanie tych pokarmów moż w dużej mierze przyczynić się do wzmocnienia osłabionych włosów.

Dr. *S. H.*

MYŚLI I SŁÓWKA

Przyjdzie może czas, że siłą dobroci i siłą miłości, siłą mądrości dobrej, ludzie przerabiać będą nieszczęścia w szczęścia — ale teraz jest on jeszcze bardzo oddalony.

(E. Orzeszkowa).

*

Są to pory w życiu człowieka, w których jedyną pracą i jedynym czynem, jedyną zasługą może być tylko cierpliwe, bez skarg i gniewu znoszenie życia. Nic podźwignąć i niczego dokonać już nie można, oprócz wzniesienia duszy swojej nad małości tego świata i powściągnienia jej od wylewania na świat tych ciemności i goryczy, któremi on ją napoił.

(E. Orzeszkowa).

Kandydatka na czarną „miss"



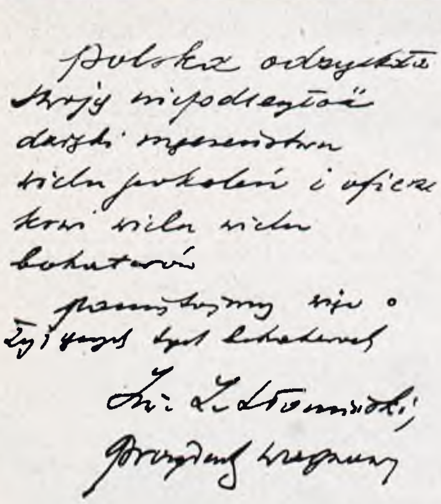
Młoda dziewczyna z Kongo.

ŻYCIE INWALIDZKIE

Pod redakcją prezesa Legji Inwalidów majora Włodzimierza Labuko

PREZYDENT M. ST. WARSZAWY INŻ. Z. SŁOMIŃSKI INWALIDOM WOJSK POLSKICH





Polska odzyskała swoją niepodległość dzięki męczeństwu wielu pokoleń i ofierze krwi wielu bohaterów.

Pamiętajmy więc o żyjących tych bohaterach.

INŻ. Z. SŁOMIŃSKI
Prezydent Warszawy

Prezydent m. st. Warszawy, inż. Z. Słomiński, zasłużył sobie na ogólne uznanie, cześć i szacunek za swoją zawsze energiczną i dzielną troskę nietylko o stolicę Rzeczypospolitej, której przewodzi z ramienia ogółu jej mieszkańców, lecz także dzięki osobistym zaletom umysłu, serca i charakteru, wrażliwego na wszelką niedolę i potrzebę społeczną. Legja Inwalidów Wojsk Polskich miała tego niejednokrotnie dowody, to też serdecznie jest wdzięczna za piękny osobisty aforyzm, którym rozpoczyna swoją „Księgę zdań i myśli o inwalidach armji narodowej".

Szykanowanie inwalidów Wojsk Polskich w Krakowie

A jednak dzieje się i tak...

Czytelnikom „Reduty" podajemy charakterystyczny raport inwalidzki, nadesłany do Zarządu Głównego Legji Inwalidów W. P. w Warszawie z oddziału krakowskiego Legji, podpisany przez jego wiceprezesa Władysława Skrzyniarza.

„Jak wiadomo zarządowi głównemu — pisze wiceprezes oddziału krakowskiego — z jego polecenia wystaraliśmy się w grudniu ubiegłego roku u władz magistratu m. Krakowa o zezwolenie ustawienia „Koła szczęścia"... Zezwolenie to opiewało na przeciąg 6-iu tygodni, z czego wykorzystaliśmy tylko 3 tygodnie ze względu na niesprzyjającą pogodę. Impreza ta została zakończona pod koniec grudnia ubiegłego roku.

W połowie stycznia b. r. na skutek starań krakowskiego oddziału Legji uzyskaliśmy zezwolenie Generalnej Dyrekcji Loterji Państwowej na prowadzenie „Koła szczęścia" na dochód oddziału krakowskiego na przeciąg trzech miesięcy. W myśl obowiązujących przepisów zwróciliśmy się do województwa krakowskiego o zezwolenie uruchomienia uzyskanej koncesji. Województwo odniosło się do tej sprawy jak najbardziej przychylnie. Natomiast, gdy zwróciliśmy się do magistratu krakowskiego, spotkały nas odrazu trudności — żądano od nas dodatkowego sprawozdania nietylko z naszej imprezy poprzedniej, ale i sprawozdania z działalności organizacyjnej. Uczyniliśmy temuż chętnie zadość. Pomimo to magistrat krakowski przyznał nam tylko jeden tydzień do eksploatacji naszej koncesji. Nie można się było na to zgodzić, albowiem groziło to nam zabrnięciem w bardzo duże zobowiązania finansowe, jak: opłatę skarbu państwa, zamówionego towaru i zaangażowanych ludzi. Zwróciłem się przeto z delegacją do p. wiceprezydenta miasta Krakowa Schnaidra z prośbą o udzielenie Legji Inwalidów zezwolenia na dłuższy okres czasu, gdyż jeżeli miasto będzie nam w ten sposób utrudniać pracę, to doprowadzi oddział Legji do ruiny finansowej. Pan wiceprezydent w odpowiedzi zaznaczył bez żadnych skrupułów, *że miasto nie ma żadnego obowiązku popierania inwalidów Wojsk Polskich, pretensje inwalidów odnoszą się jedynie do państwa, względnie skarbu.* Na moje oświadczenie, że w myśl ustawy o opiece społecznej magistrat, jako władza administracyjna pierwszej instancji, jest obowiązany do otoczenia inwalidów W. P. swą opieką, ponieważ, jeżeli z opieki społecznej korzystają nawet żebracy, to tembardziej mają prawo do tego obrońcy Ojczyzny. Pan wiceprezydent miał śmiałość oświadczyć ponownie, *iż żebrak należy do miasta, więc tem samem należy mu się opieka — natomiast inwalida należy do państwa i tam powinien zgłaszać swe pretensje, gminy bowiem nikogo na wojnę nie wzywały i nie wysyłały i nie robiły inwalidami, a więc tem samem nie mogą z tego tytułu ponosić żadnych konsekwencyj.* Na takie oświadczenie pożegnałem p. wiceprezydenta, dziękując za pouczenie, że gmina, szczególnie krakowska, nie należy do państwa polskiego, a raczej jest instancją wyższą, aniżeli państwo, oraz oświadczyłem, że wobec takiego nieustępliwego stanowiska magistratu, a nawet wrogiego, jestem zmuszony odnieść się do wyższych władz w Warszawie. Pan wiceprezydent oświadczył sucho, że władze centralne nic nie mają do powiedzenia ani rozkazywania, gdyż magistrat krakowski jest instytucją autonomiczną.

Wobec powyższego udałem się z delegacją do p. wojewody Kwaśniewskiego z prośbą o interwencję. P. wojewoda, przyjąwszy nas nadzwyczaj życzliwie, interwenjował natychmiast telefonicznie u p. wiceprezydenta Schnaidra, przypominając mu obowiązki magistratu otaczania opieką inwalidów oraz szanowania zarządzeń wyższych władz, a przynajmniej nie przeszkadzania inwalidom w ich pracy, prosząc wiceprezydenta o załatwienie pomyślnie sprawy. Co na to odpowiedział p. wiceprezydent, nie jest mi wiadome.

Gdy odchodziliśmy, p. wojewoda zapewnił nas, że magistrat sprawę załatwi pomyślnie i polecił nam wnieść do magistratu prośbę o przedłużenie w dalszym ciągu zezwolenia magistratu na prowadzenie „Koła szczęścia". Prośbę tę wnieśliśmy dnia 12 lutego r. b.

W myśl procedury magistratu prośba nasza powinna być wniesiona dnia 15 lutego b. r. na sesję magistracką. Gdy dnia tego zgłosiłem się do naczelnika wydziału Weselego, oraz jego zastępcy dr. Gronickiego, oświadczono mi, że prośba nasza załatwioną ani nawet przedłożona na sesji magistrackiej nie będzie, uzasadniając swe stanowisko identycznie do stanowiska, zajętego przez p. wiceprezydenta Schnaidra.

Charakterystyczne jest to, że magistrat krakowski, który kategorycznie sprzeciwił się wydania nam zewolenia na urządzenie loterji, motywując to tem, że tak długiego terminu dać nie może oraz, że to psuje estetyczny wygląd miasta, w tym samym czasie wydał cały szereg podobnych zezwoleń najrozmaitszym prywatnym osobom na podobne imprezy. Tegoż dnia do wykorzystania tego samego placu, którego nam odmówiono ze względów estetycznych, magistrat udzielił zezwolenie niejakiemu p. Nazarewiczowi za l. 751 na przeciąg 6-iu tygodni. Zezwolenie to podpisał radca magistratu Hajdukiewicz. Wszystko to spowodowało mnie do mego wystąpienia na nadzwyczajnem posiedzeniu zarządu oddziału krakowskiego Legji. Po zrzeczeniu się mandatu przez zarząd tutejszy aż do rozstrzygnięcia sprawy przez Zarząd Główny loterja „Koła szczęścia" była czynna w dalszym ciągu. Wówczas na polecenie magistratu komendant policji państwowej na miasto Kraków zabronił dalszego prowadzenia imprezy, motywując to brakiem zezwolenia, a głównie tem, że na placu, na którym stoi nasze „koło" gromadzi się publiczność, co zagraża bezpieczeństwu publicz-

Zarząd oddziału Krakowskiego Legji Inwalidów Wojsk Polskich



Marjan Cybulski — skarbnik, prof. Adam Faliszewski — prezes, Bolesław Sikorski — członek zarządu, Józef Ozajst — sekretarz, Władysław Skrzyniarz — wiceprezes, Jan Drapała — członek zarządu, Franciszek Mania — członek zarządu, zastępcy: Alojzy Rachwalik i Antoni Wójcik.

nemu, gdyż różne męty korzystając z tego, okradają publiczność. Argument ten nie może być przekonywujący, albowiem takich imprez w Krakowie, to jest stoisk, przy których gromadzi się publiczność, jest kikanaście, z tą różnicą, że tamte należą do osób prywatnych. Słowem, z pośród wszystkich stoisk jedno tylko stoisko inwalidów armji narodowej okazało się groźnem dla bezpieczeństwa publicznego.

Udałem się więc ponownie do województwa, które interwenjowało w starostwie grodzkiem. Wówczas starostwo uzgodniło miejsca, na których mogą stać stoiska. Pomimo to, zarówno magistrat, jak i komendant P. P. na miasto Kraków nie zgodzili się kategorycznie na dalsze prowadzenie naszego „Koła szczęścia", oświadczając, że jeżeli nastąpi to bez ich zgody, na zasadzie wojewódzkiego zezwolenia — magistrat uda się na drogę prawną i zastosuje wobec nas sankcje karne".

*
* *

Zdaje się nie do uwierzenia... I czyż po tem wszystkiem dziwić się można, iż gorycz wypełnia serca licznej rzeszy inwalidzkiej? Czyż nie jest to najlepszy sposób, aby torować drogę elementom wywrotowym i komunistycznym do opanowywania tych organizacyj, które wymagają specjalnie czułego i subtelnego stosunku i traktowania?

Bezmyślne i nieszlachetne szykanowanie inwalidów armji narodowej poddajemy pod pręgierz opinji publicznej.

R-ja

W PIERWSZĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI ZAŁOŻYCIELA LEGJI INWALIDÓW WOJSK POLSKICH



Ś. p. porucznik-inżynier Stanisław Mirski-Lewandowski.

W okręgowym szpitalu po długiej męce zmarł przed rokiem porucznik Stanisław Mirski - Lewandowski założyciel i twórca Legji Inwalidów Wojsk Polskich, oraz czynny współpracownik wielu związków ideowych.

Ś. p. Stanisław Mirski - Lewandowski, urodzony w Rzyszczewie w r 1886, ukończył szkoły średnie w Kijowie, potem Instytut Górniczy w Jekatyrynburgu. Życie tego cichego pracownika sprawy polskiej upływa od czternastego roku jego życia między pracą ideową a więzieniem rosyjskiem. Mając lat piętnaście dostaje się po raz pierwszy do więzienia za szerzenie zakazanej literatury. Zwolniony po roku z więzienia, kończy studja i rzuca się dalej w wir pracy konspiracyjnej. Ukrywając się od tego czasu stale pod zmienionemi nazwiskami, urządza odczyty i zebrania szerzy zakazany w Rosji kolportaż wydawnictw patrjotycznych, jeździ po wsiach i większych zbiorowiskach robotników polskich, budzi ducha polskiego w masach i przygotowuje przyszłej Polsce wolnego obywatela W roku 1910, poznany i aresztowany w Moskwie, po kilkumiesięcznym pobycie w więzieniu ratuje się ucieczką.

Rok 1913 zastaje go w najcięższem więzieniu b. Rosji, w Schliesselburgu. Po paru miesiącach ucieka w przebraniu żandarma rosyjskiego. Bierze udział w wojnie światowej i zostaje ciężko ranny. Dłuższy czas spędza w szpitalu, a podleczywszy swe rany organizuje razem ze ś. p. Lisem - Kulą P. O. W. w Kijowie. Staje na czele organizacji i przy pierwszej sposobności po wielu trudach i przejściach przedziera się do Warszawy z garścią oficerów P. O. W., gdzie oddaje się do dyspozycji ówczesnego rządu.

Lecz trudy lat, spędzonych w więzieniu i na wojnie, podrywają słabe ciało. Mirski-Lewandowski ostatnim wysiłkiem swej ogromnej woli, hartu i umiłowania Polski tworzy po wojnie Legję Inwalidów Wojsk Polskich. Na przeciąg szeregu miesięcy oddaje swe mieszkanie do dyspozycji nowej organizacji. Przez skromny jego dom przewijają się tłumy nieszczęśliwych ofiar wojny. Mirski-Lewandowski spędza dnie całe na interwencjach u władz w sprawach swych kolegów i każdemu zgłaszającemu się służy radą i pomocą. Kiedy ramy jego mieszkania stają się zaciasne dla nowej organizacji przenosi ją do Koszar Blocha.

Ostra jednak gruźlica płuc i krtani załamuje zupełnie wyczerpany organizm. Wszystkie wysiłki utrzymania go przy życiu przedłużają tylko konanie Jeszcze w szpitalu po licznych operacjach interesuje się żywo sprawami społecznemi, aż wreszcie nielitościwa śmierć dnia 9 marca przerywa bohaterski szlak jego pełnego chwały i zasług życia

Odszedł od nas, jednak idea którą zaszczepił w sercach polskich inwalidów trwać będzie tak długo, jak długo przetrwa typ polskiego inwalidy - patrjoty, dla którego celem będzie przekazanie potomnym symbolu ran, otrzymanych na polach bojów w obronie Ojczyzny.

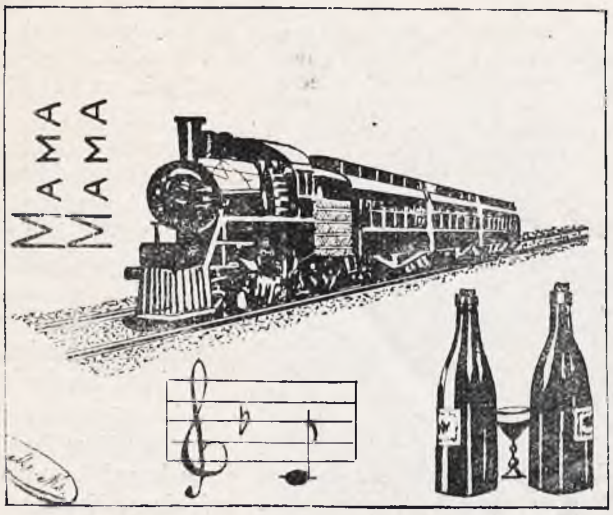
Cześć jego świetlanej i niezatartej pamięci!

SKRZYNKA REDAKCYJNA

Marjanowi Z. z Kołomyji. Doskonała idea. Niech się Pan zwróci wprost do Ligi Morskiej i Rzecznej w Warszawie. Pomysł bardzo ciekawy i może dać duże rezultaty. Stosownie do życzenia Pańskiego, zachowamy zupełną dyskrecję, dopóki Pan sam się z tem do Ligi nie zwróci.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

REBUS Nr. 16



REBUS Nr. 17



ROZWIĄZANIE FIGIELKA RYSUNKOWEGO Nr. 2.



Pola Negri

ROZWIĄZANIA REBUSÓW I ZADAŃ

w numerach „Reduty" — okazowym, pierwszym, drugim, trzecim i czwartym :

REBUS Nr. 1 — „Młodzież Ojczyzny kotwica".
REBUS Nr. 3 — „Podłość, jak oliwa wychodzi na wierzch".
REBUS Nr. 4 — „Trzymaj język za zębami".
REBUS Nr. 5 — „Łatwiej wielbłądowi przeleźć przez ucho igielne, niż bogaczowi dostać się do nieba".
REBUS Nr. 6 — „Święta skończyły się, powróćmy do przerwanych zajęć".
REBUS Nr. 7 — „Kobieta-anioł i kobieta-chłopczyca przecie nie antypody".
REBUS Nr. 8 — „Gdy niema pałasza, dobry kozik u pasa".
REBUS Nr. 9 — „Polskie morze bywa częstokrotnie i złośliwe".
REBUS Nr. 10 — „Tylko cel osiągnięty pracą i mozołem, daje długotrwałe zadowolenie".
REBUS Nr. 11 — „Dobra sposobność to pół szczęścia".
REBUS Nr. 12 — „Kruk krukowi oka nie wykole".
REBUS Nr. 13 — „Jakie drzewo, taki klin, jaki ojciec, taki syn".
ZADANIE Nr. 14 — „Zdanie starego kawalera".

Dlaczego przedwcześnie zanika uroda?

Ponieważ 90% ludzi cierpi na utratę włosów.

Czyszczenie zębów stało się potrzebą i dbamy, by tak szczoteczka jak i pasta do zębów były odpowiedniego gatunku. Dowodzi to, że pielęgnowanie zębów wykonujemy z nadzwyczajną starannością. Aczkolwiek uwłosienie większy posiada wpływ na wygląd zewnętrzny człowieka niż uzębienie. **Pytamy Szanownego Czytelnika, czy z równą troskliwością dobiera środków do pielęgnowania włosów.** Należy za-



Woda jest szkodliwa. Czego więc wymagają korzonki włosów??
(Patrz treść).

znaczyć, że rozpoznanie sztucznych zębów nie jest tak łatwem, jak odróżnienie peruki od własnych włosów — co więcej peruka staje się często przyczyną pośmiewiska dla otoczenia, niemniej jak i łysina.

Pomimo to nie staramy się o stwierdzenie, co jest przyczyną utraty włosów u każdego człowieka, jakoteż nie dbamy o zapoznanie się ze środkami nie-



Postaraj się o nowy porost włosów. Za pomocą czego?—Patrz treść

zbędnemi do właściwego pielęgnowania podglebia włosów, celem zabezpieczenia mu potrzebnej energji rozrodczej aż do późnej starości.

Najbardziej polecanym przez lekarzy środkiem do pielęgnowania włosów jest „Silvikrin-Shampoon" i „Silvikrin-Fluid", albowiem środki te przyczyniają się do utrzymania włosów w przepysznej bujności.

504-42 85-II.

Używanie wody przy układaniu włosów jest szkodliwe, bo podrażnia naskórek głowy, przyczynia się do osłabienia włosów i pociąga za sobą utratę tychże. **Dlatego też rzeczą ważną dla każdego, korzonki włosów, jakoteż i podglebie ciągle odświeżać i czyścić hygjenicznym środkiem, za który uważać można „Silvikrin-Fluid" i „Silvikrin-Shampoon".** Zaznaczyć należy, że w wypadkach dolegliwości uwłosienia wymagana jeszcze specjalna kuracja, dla której polecić można „Silvikrin-kurację włosów w komplecie", który to środek pobudza porost włosów i jest niezbędny dla ludzi z wątłem uwłosieniem.

Profesorowie uniwersytetów oraz lekarze praktycznie stwierdzili po dokładnych badaniach, że **„Silvikrin-kuracja-włosów w komplecie" jest najlepszym środkiem na porost włosów i zapobieganie łysinie, a nawet na zupełne usunięcie tejże (według twierdzenia prof. dr. Pollanda w Grazu).** Dowodzi to, że preparatem SILVIKRIN osiągnięto w dziedzinie kosmetyki i porostu włosów tak wielki postęp, że każdy powinien ze środków tych korzystać. **Dlaczego więc czekać, aż tkanki tworzące włosy zupełnie zamrą?**

My, jako wynalazcy i posiadacze tego przepisu, polecamy środek ten nietylko opierając się na naszych osobistych doświadczeniach, lecz również i na opinji uczonych i lekarzy specjalistów w dziedzinie kosmetyki. A na opinji tych specjalistów opieramy się dlatego, by u Szanownego Czytelnika nie obudziła się nieufność do polecanych przez nas środków. Wystarczy, jeżeli tak poważny uczony, jakim jest prof. dr. med. Polland potwierdza, że zapomocą Silvikrinu osiągnął zadziwiające wprost wyniki, a to dzięki naturalnym składnikom Silvikrinu, które **pobudzają porost i uzdrawiają podglebie włosów.** Idziemy nawet tak daleko, że prosimy wszystkich Panów Lekarzy, którzy Silvikrin jeszcze nie wypróbowali, o zażądanie bezpłatnego dostarczenia naszych preparatów i łaskawe orzeczenie.

Po zaznajomieniu się z niniejszą treścią każdy Czytelnik, posiadający łupież lub cierpiący na zanik włosów, powinien zapoznać się z „Silvikrin-kuracją-włosów w komplecie".

Składniki Silvikrinu, obfitujące w siarkę molekularną, stanowią specyficzne pożywienie niezbędne dla korzonków włosów. Bliższe objaśnienia osób kompetentnych podajemy w naszej broszurze „Wypadanie i regeneracja włosów", którą wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Prosimy poniższy kupon wyciąć i przesłać w kopercie zaopatrzonej w znaczek pocztowy do Silvikrin-Vertrieb, Gdańsk 300, Böttcherg. 23/27.

SILVIKRIN-VERTRIEB, Gdańsk 300.

Proszę o przesłanie mi bezpłatnie:

1. Próbkę Silvikrin-Shampoon.
2. Broszurę **„Wypadanie i regeneracja włosów".**
3. Najnowsze wiadomości z Polski — również z kół lekarskich — o osiągniętych dodatnich wynikach stosowania Silvikrinu.
4. System kuracji Silvikrinem zredagowany przez prof, dr. med. Lipliawskiego

Nazwisko .... Miejscowość ....

Ul. i L. Domu .... Poczta ....

KSIĄŻKI RÓŻOWE I BŁĘKITNE

Cena tomu w oprawie 1.50 zł.

Żądać we wszystkich księgarniach. **Żądać we wszystkich księgarniach.**

KARTKI Z HUMORU



— Co pan sobie myśli, że ja będę jadł takie świństwo? Zawołaj pan gospodarza!
— A pan szanowny myśli, że on zje...



— Co to ma znaczyć? mówiłam ci, żebyś odegrała wprawki...
— A co mama myśli? Na cóż się ma służbę?



Przysięgliśmy sobie przed ołtarzem, że dzielić będziemy wszystkie dole i niedole. Dlatego też, kiedy ją zęby bolą, to siada do fortepianu, żebym i ja również cierpiał...



— Czego krzyczycie, bąki?
— Bawimy się w męża i żonę, a ona chce pieniędzy na kapelusz...



— Mamusiu, ja chcę do cyrku na clown'ów...
— Co tobie, dziecino, masz przecież ciocię Ludwisię.



— Cóż to za chleb sprzedaliście mi, towarzyszu, znalazłam w nim zardzewiałe gwoździe!
— Gwoździe i rdza? To nie moja sprawa, ja jestem od chleba. Zwróćcie się, towarzyszu, do „Żelgosa".



— Czego ty płaczesz, Icek?
— Bo tate spadł z drabiny i potłukł nos.
— No to co? To głupstwo, śmiej się z tego.
— Ja się już śmiałem i dlatego teraz płaczę...



— Niema rady, moja droga, to przecież prawdziwy donżuan.
— Niechby też tak ze mną spróbował! Nicby z tego nie było...



Roztargniony lekarz: — Mój Boże! z taką temperaturą to ja przecież nie przeżyję nocy...

Redaktor odpowiedzialny: M. LABUKO.

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.